Cena 8 zł.

# Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 22 września 1946 r. | Nr 37 (65)

Jan Aleksander Król

LISTY ZE WSI

# Na wiejskiej poczcie (I)

(List otwarty do Ministra Poczt i Telegrafów*))

Piszę do Was ze wsi. Znajduje się ona w środku Polski. Siedzi przy szosie, która wiedzie na zachód. Wiążą się z nią trakty na Częstochowę, Katowice, Kraków, na Kielce. Nieustannie suną ciężarowe samochody. Dudnienie przypomina dobrze obciążone bombowce. Takie tu „powietrze", gleba i lasy, że samochody, huczą jak bombowce. Przy szosie w prywatnej chałupie mieści się Wasza Agencja pocztowo-telegraficzna. Piętnaście kilometrów od powiatowego miasteczka. Wasz ostatni punkt rozdzielczy. Cóż on rozdziela? Listy, pisma, telegramy, rozmowy telefoniczne i paczki.

Ministrze, kiedy obejmowaliście stanowisko w rządzie, kręciłem głową. Dlaczego na pocztę idzie działacz Ruchu Ludowego? Działacz polityczny z tych „starych" a rzeźkich. Z tych co by mogli, jak Dec na każdym wiecu mówić o pięćdziesięcioletniej tradycji Ruchu Ludowego jako historii własnego życia. Z tych, co w ruchu „magna pars fuerunt", co jeszcze odbijali się od Stojałowskiego i Stapińskiego. Ale nie ciągną tradycji tej epoki, w której chłopi szli „chmurami" i „ławą", w której wodzostwo zdobywało się na „gościńcu", a zaufanie za koszulę bez kołnierzyka, za siłę mięśni, co metr pszenicy na wóz lekko rzuca, za fotografie wreszcie w „kapelusu" przy młocce czy orce. Byliście — jak pisano, jeszcze o Was dwudziesto-paroletnim, doktorze — odrazu mecenasem, prawnikiem, adwokatem — znaczy — inteligentem. I nic tu nie pomagała rodzinna Chocznia, i związek tej gromady i Rzeczpospolita Chocznianśka i pismo sumptem chłopów z Choczni wydawane, byliście, byliście doktorze... inteligentem.

Na tamtą epokę nie była to najlepsza legitymacja do popularności. A jeszcze kiedy się miało dwa koniki: Reformę Rolną i społeczne grzechy kościoła i, kiedy się na nich jeździło, bijąc prawniczymi wywodami, adwokackim materiałem dowodowym, bijąc pasją historyka, który szperał nie tylko po bibliotekach, ale po gminach, plebaniach i dworach i „curiosa" wydobywał z „mroków średniowiecza" i inne osobliwości z późniejszych czasów, jak chłopskie śluby cywilne z pierwszych lat dziewiętnastego wieku (prawo cywilne Napoleona), jak wraz ze zniesieniem pańszczyzny próby na Sejmie Galicyjskim zrzucenia przez szlachtę ciężarów fundacyjnych i konserwatorskich łożonych przez nich dotąd na kościoły — zrzucenia na chłopów...

Alem się zastanowił i myślę dzisiaj inaczej. Ileż my mamy na wsi instytucyj i jakie? Najstarsze, to kościół — plebanja, dwór i karczma, potem gmina i targowisko w miasteczku, potem pod koniec wieku XIX szkoła ludowa, równocześnie pierwsze Kółka rolnicze, równocześnie najazd przedsiębiorstw przemysłowych: gorzelnie, młyny, cegielnie, cukrownie, wapienniki, potem zaczątek domów ludowych, kół i świetlic młodzieży wiejskiej, potem agencji pocztowych (na gminę jedna), potem sklepików spółdzielczych, mleczarni, Teatrów i Uniwersytetów Ludowych...

Zaszły i zachodzą zmiany. Padł dwór, padła jeszcze wcześniej karczma. Gmina, jak w Galicji, ciągnąca za sobą tradycję „mandatariuszów", narzędzie obcych rządów i układny lis wobec dworu i plebanii, a w ostatnich międzywojennych latach narzędzie rządu antyludowego — jest dziś do zdobycia przez chłopów w ich nowym powszechnym awansie kulturalnym. Dziś nazywamy ją Gminną Radą Narodową i nazwa ta wskazuje na nową funkcję społeczną terytorialnego samorządu. Na przestrzeni kilkunastu gromad funkcjonować ma teraz Rada Narodowa Chłopów. Instytucja, która w zasięgu okolicy, zamieszkałej przez chłopów znających się z osobistych kontaktów obejmuje swoją opieką i planowaniem wszystkie indywidualne i zbiorowe potrzeby, wszystką jednostkową i instytucyjną działalność — tak aby w nich tętniło życie narodu. Aby z kraju szły dobra, narzędzia i wzory do tej małej ojczyzny, jaką jest każda terytorialna „ojcowizna", i żeby stąd każdy wysiłek, każde osiągnięcie i zamiar tworzyły zapis w nowoczesną ludową Polskę.

Obywatelu Ministrze, pozwólcie jeszcze chwilkę nie o Waszej poczcie, a o Radzie Narodowej. Mówiłem o przemyśle na wsi, prywatnym przed laty, nie chłopskim, dziś on jest w części państwowy (ale państwa chłopsko-robotniczego), a w części społeczny, spółdzielczy samej wsi. Potężną część majątków z Reformy Rolnej wydzielono na ośrodki elitarne (zbóż, hodowli bydła, jarzyn, sadów). Będą one pracować dla podniesienia intensywności i jakości wyłącznie chłopskiej produkcji rolnej... te dawne, prywatne dobra pańskie.

Na obszarze gminy unifikuje się ruch spółdzielczy, przemysłowy i handlowy w jedną spółdzielnię Z. S. Ch. Na terenie całej Polski istnieje jedna organizacja spółdzielcza, w którą spółdzielczość chłopska wzrasta organicznie. Związek Samopomocy Chłopskiej staje się organizacją uniwersalną na wsi, łączącą wszystkie interesy zawodowe i branżowe chłopów-rolników i chłopów-przedsiębiorców.

Izby rolnicze dostają się dziś pod społeczną kontrolę wsi i stają się instrumentem jej gospodarczej organizacji. Oczy nasze obrócone są na Urzędy Ziemskie. Na resztówkach osadzają się w tysiącach Szkoły Rolnicze, spółdzielnie przemysłu rolnego, świetlice, w setkach „Domy Dziecka", Uniwersytety Ludowe, gimnazja chłopskie.

Oto nowe tło społeczno-gospodarcze Gminnych Rad Narodowych. Ubył dawny patron — dwór. A plebania zmienia taktykę. Rozmawiałem z kilku proboszczami. Powtarzają dwie tezy: 1) chłopu można powierzyć państwo, on już dojrzał, 2) i nic się nie da zrobić przez rewolucję, tylko drogą ewolucji.

Przyjemnie jest słyszeć pierwszą tezę, choćbyście Wy Ministrze zaraz sięgnęli do stosu akt dokumentujących, że parę jeszcze lat temu, zażyłe stosunki plebanii z dworem nie skłaniały jej do głoszenia pochwały chłopskości. Co się stało a odstać się już nie da nazywają proboszczowie — ewolucją. Zaiste, osobliwa to ewolucja, która tych starców u schyłku ich życia, nagle, nazajutrz nowej Polski olśniła widzeniem chłopskiego władztwa. Co zaś się dopiero staje — nazywają jednak po staremu — rewolucją. Dziwnie toczył się nasz dyskurs. Pytałem grzecznie — więc którzy to chłopi dorośli do kierowania losami narodu? Czy ci z bractw nabożnych a bez szkół, płacący świętopietrze i fundujący kościoły, kaplice i krzyże, a nie fundujący swoich szkół powszechnych, nie opiekujący się pocztą, zdolnymi dziećmi, nie organizujący się gospodarczo? Dlaczego miodem smarujecie tylko chłopów, chwaląc obecnie ich prawo do rządu, do stanowienia o Polsce, a przemilczacie tysiące nowych, konkretnych zadań społecznych, oświatowych i gospodarczych, które w każdej gminie i wsi stają dziś przed chłopami, aby ich władztwo stało się rzeczywistością, aby Polska Ludowa była dziełem ludu, który nie tylko dostaje ale wytwarza i stwarza sam? Dlaczego was przeraża rozmach, jaki musi towarzyszyć powszechnemu awansowi społecznemu wsi? Jakże to chcecie, aby ten sam całujący was w rękę chłop ze „zgiętą, unizoną duszą" zasiadał w fotelach starostów, wojewodów i ministrów?

W jednym z „Domów Dziecka" miałem sprawę z byłą dworską pracownicą. Mąż jej zginął na tej wojnie. Ona dostała trzy hektary z Reformy Rolnej. Teraz syna powołano do wojska. Umówiliśmy się że przyjdzie do pałacu i naradzimy się. Przyszła i... stała w sieni, w kącie, choć tam dolatał śpiew dzieci, na Boga, chłopskich, tu wypoczynkujących. Ona znała rozkład pałacu, ona ma 3 h z Reformy Rolnej, jej syna powołuje nowe, zdemokratyzowane Wojsko Polskie, ale ona po dawnemu w sieni i kącie. Czemuście to nie wytłumaczyli takim kobietom, czym teraz jest ten pałac, czemuście nie wyjaśnili z jakiego nieba spadł na chorągiew biało-czerwoną jaka nad nim powiewa, napis „Dom Dziecka"? Czemuście to nie ułatwili im „dorosnąć" do otrzymanych trzech hektarów ziemi, na której ich starsi synowie wyhodowali w sobie takie kompleksy niższości, że jak mi mówiła ta stara kobieta: „z tego najstorsego to ino gospodarz, o, z tego łokna pon tak na niego pohukiwał (syn konie oporządzał), że un sie lęka wyjrzeć kajsi na świat, inoby wolał koło pola. Ten mój najmłodsy (12 lat, 6 oddział) ten się piknie uczy i śmiały jest i kowalowi pomógł lokomobile narychtować, teraz młóci się zboże całej wsi".

Czy myśmy mieli tej kobiecie dać tylko trzy ha. ziemi? Jeżeli tylko tyle, to prawie żeśmy jej krzywdę wyrządzili. Należała ona dotąd do systemu dworskiego. Z dziada, pradziada był on rzeczywistością niemniej pewną jak pory roku, jak noc po dniu. Ciężka rzeczywistość, ale znana, określona. W tym porządku wychowała się ta kobieta, lęków, poniżenia i nędzy pełna. Ale lęki i poniżenia uczyły ją siły systemu, któremu podlegała. Aż tu naraz... 3 ha ziemi z tego systemu. Zostawiliście proboszczowie duszę tej kobiety ewolucji. A ona przechodzi chaos rewolucji. Najboleśniejszy chaos. Ma ziemię z lękami „dworskiej najmity". Ma ziemię z „cudu", bo stoi w kącie pałacowej sieni. Nie podniosła się jej chłopska godność przez ziemię. Nie widzi nowych związków, nowego oparcia społecznego. Nie jest świadomą siłą popierającą nowy ustrój, który ją wyniósł. Nie wie o nim, jak wiedziała o wszystkich dozwolonych i niedozwolonych szansach, jakie dawał dwór. Ma ziemię i syna chce uwolnić od wojska. I nie wie, nie rozumie, że syna wzywa Polska, aby zeń uczynić pewnego siebie obywatela nowego ładu społecznego. Aby, kiedy wróci, umiał zrealizować nowe szanse wsi, które nie zostawiają po dawnemu chłopa zdanego na siebie samego.

I jeżeli my to za was robimy, proboszczowie, to czy to się nazywa rewolucją?

Obywatelu Ministrze, nie pisałbym o tej kobiecie gdyby ona była odosobnionym przykładem. Nauczyciele ludowi są źle płatni, na poczcie urzędnicy źle płatni. Nauczyciele uciekają ze wsi, na pocztę mało kto się kwapi. Ale podczas okupacji, a i dziś jeszcze tam, gdzie są chłopskie gimnazja na wsi, daje się pięćset złotych za naukę, 800 zł za internat — miesięcznie. Tej prawdzie trzeba spojrzeć w oczy. Mówi ona, że tradycja szkoły powszechnej, utrzymywanej na koszt państwa zahamowała chłopów w latach okupacji w akcji wspierania nauczyciela. Brał pensję z rąk niemieckich i dość. Dorabiał dopiero na tajnych kompletach wyższych klas szkoły powszechnej, dopełniając program zakazanymi przedmiotami. Dorabiał sposobiąc do niższych klas gimnazjum. Na to pieniądze chłop dawał, bo były to zakresy nie objęte tradycją bezpłatności. A przeciwnie, obciążone tradycją dużych kosztów (stancja w mieście, czesne, ubrania). A tu na miejscu, kalkulowała mu się ta edukacja taniej. I nauczyciel wiedział, że wiążąc koniec z końcem, osiąga ten stan nie dlatego, że chłopski komitet rodzicielski dba o jego egzystencję, aby on mógł swobodnie prowadzić instytucję oświaty w/g trzech społecznych kryteriów: 1) największa ilość uczniów, 2) najzdolniejszych, 3) najwyższy stopień wiedzy.

Przeciwnie, wiedział, że to jest dla nich towar, jeden, jak kamienie na polu, z których można nie płacąc budować mur — to przepisowa szkoła powszechna, drugi, poza przepisem, za który się z nim ugadywano i trzeci — „gimnazja", na które wiadomo, że trza dobrze kabzy rozwiązać.

Zmuszony sprzedawać towar wiedzy nauczyciel czuł, jak łamie swoje wysokie posłannictwo. Pieniądz, cena oddawały go na służbę najbogatszym, choćby najgłupszym. Cena nie pozwalała włączać do kompletu niepłacących. To groziło protestem ze strony płacących i obniżką. Na tej służbie brakło mu już czasu i sił, aby ekstra douczać tamtych najbiedniejszych i najzdolniejszych.

Dziś kiedy przepisowa stała się zpowrotem pełno-przedmiotowa szkoła powszechna, kiedy odeszły gimnazjalne kursy, nauczyciel przymiera głodem. Wodzireje polityczni krzyczą: Państwo za mało płaci! Głupi byłby rząd, któryby swojemu aparatowi nie dał najlepszych warunków egzystencji. W państwach faszystowskich czyniono to bezwzględnie. Instrument musiał być podsmarowany, aby działał niezawodnie. Jeżeli nauczyciele są źle płatni to znaczy, że demokratyczne państwo nie chce wymuszać sztywnym prawem podatkowym tego, co winno być dobrowolną dojrzałą ofiarą społeczeństwa w okresie przejściowym. Ludzie aparatu nowej Polski Ludowej to działacze o największej świadomości i ofiarności społecznej. Takimi winni być! Wymowa ich ofiary i poświęcenia niechże wodzirejom politycznym uprzytomni ich grzech. Nie organizują społecznej pomocy chłopskiej instytucjom, których korzyść jest nieproporcjonalna do kosztów na nie włożonych, a możliwych. Niechże ci wodzireje partyjni zmuszą bogatszych do danin, któreby zapewniły biednym a zdolnym przybór do gimnazjów i szkół zawodowych. Chwalimy się Uniwersytetem w Gaci, ufundowanym ze składek chłopskich. Ale ten przykład jest nie w mniejszym stopniu świadectwem naszego nieuspołecznienia. Dwadzieścia milionów chłopów złożyło 12 tysięcy złotych. Takich Uniwersytetów moglibyśmy wystawić 100. Przysłowiowe jest nie płacenie przez nas składek na stowarzyszenia, koła i stronnictwa. Czy wodzireje polityczni walczą z tą tradycją, czy rozumieją jej tragiczny sens?

W tej wsi jest ogrodnik z dawnego pałacu. Chłop, który wędrował po Europie i specjalizował się na fermach ogrodniczych. Teraz pracuje w tym samym ogrodzie w „Domu Dziecka". Kradną — powiada — owoce, jarzyny, bezmyślnie, wściekle, wyrywają, niszczą. Od miesięcy próbuje zawiązać bezpłatny kurs. W żadnym gospodarstwie nie ma cebuli, marchwi, pietruszki, pomidorów, ogórków. Jest dlatego sakramentalny żur. Czy wodzireje polityczni pomogli ogrodnikowi w tej akcji? Echem ich słów są te kradzieże, miast rozwoju kultury ogrodniczej. Wodzireje nie pomyśleli, że ten ogrodnik to nowoczesny polityk wsi. On wprowadza w praktykę to, co wypracowała teoria! Taka jest nasza rewolucja!

Nasza rewolucja oddała na służbę wsi siły naukowe. W szeregu wspaniałych pism fachowych i rolniczych piszą profesorowie Uniwersytetu. Budownictwu chłopskiemu profesorowie-architekci przygotowali wielostronne plany (betonowe, gliniane, drewniane). Są książki tak wyłożone i zilustrowane, że stary cieśla albo zdun z pomocą syna z powszechniaka śpiewająco będzie stawiał. Są tam obliczenia w skali odbudowy całej Polski, postulaty i wskazania, z którymi liczy się plan budżetowy państwa. Są pisarze chłopscy skupieni w swoich wysiłkach, aby pismem co tydzień zastąpić współczesną książkę, o bogatej treści, a której tak brak i tak potrzeba na wsi. Jest kilkadziesiąt ludowych pism informacyjnych, zawodowych, technicznych, politycznych. A nic w Polsce nie kosztuje taniej nad zadrukowany papier, a nic bardziej nie jest pilniejsze nad jego treść objaśniającą ku czemu idziemy, co możemy i jak osiągnąć — ale też niczego mniej na wsi, niż tej korespondencji z narodem, ze światem, z nowym porządkiem.

I to wam chcę zakomunikować Ministrze Poczt i Telegrafów. Nadaję depeszę z placówki jutra chłopskiego, jutra Polski. Wasza agencja pocztowa, obsługuje dwanaście wsi. Ile — myślicie Ministrze — wychodzi z niej listów chłopskich na miesiąc? 500! Na jedną wieś wypada 40 listów wychodzących, t. zn. że co 4 rodziny jedna osoba pisze raz na miesiąc. Z „Domu Dziecka" wychodzi 1000 listów, znaczy to, że każde dziecko, które tu przebywa tylko 6 tygodni, dziecko chłopskie i robotnicze pisze pięć razy na miesiąc. Tyle... dzieci. (Skąd mają pieniądze? Część z domu, a część z zarobionych przez siebie na grzybach, na pomocy w ogrodzie, z nagród).

Ministrze, a ile przychodzi listów do chłopów? Tysiąc! Dwa razy więcej niż wychodzi. Paczek wychodzi dziesięć, przychodzi sto. Z miast Polski, ze Śląska, z Francji, z Ameryki. Obywatelu Ministrze, z liczb które przytoczyłem wydaje się, że to naród, że to miasto interesuje się bardziej wsią niż ona życiem Ojczyzny, że to nieprawda, że wieś pozostawiona jest sobie. A bardziej prawdą, że ona się izoluje, że ona rwie kontakty, ona ich nie pomnaża.

Z rozmaitych stron donoszą mi chłopi, że postawili zagrodę nowoczesną, w/g „świeżego" planu. Obywatelu Ministrze — ci pisali listy. Ich listy obrodziły korzyścią społeczną i prywatną. Obrodziły, wzniesieniem kulturalnym. Ale z ilu wsi szły listy pytające o plany domów, o narzędzia, o towary, o szkoły zawodowe, o kredyty na spółdzielnie, o zelektryfikowanie, o radio, o pisma, o instruktora świetlicowego, o agronoma, technika, o nauczyciela i t. d.? Kto ich do tego dowiadywania się zachęcał? Polska czeka na pytania, prośby, inicjatywę. Polska się do nich dobija setkami pism i książek. A wieś ktoś nadal odgradza chińskim murem. Jest w tej

---

*) Ministrem Poczt i Telegrafów jest dr Józef Putek, czołowy działacz Ruchu Ludowego, rozpoczynający polityczną działalność jeszcze w epoce Stapińskiego, autor książek historycznych i etnograficznych szczególnie popularną na wsi była: „W mrokach średniowiecza".

chwili okres wybierania się na uczelnie, do szkół zawodowych i technicznych. W rozmaitych pismach przedstawione zostały typy szkół, warunki wstępne i dalsze. Ile z tych wiadomości przeniknęło na wieś? Na ilu uczelniach będą chłopscy synowie spóźnieni? Kto ich natarczywie i zawzięcie kieruje i popiera. W województwie śląskim do Szkoły Leśnej zgłoszonych zostało ponad dwieście podań na 50 miejsc. Do rozpatrzenia poszły podania sygnowane. Czy na wielu podaniach chłopskich nie brakło tych „popieram“? I czy tylko dlatego, że brak im popierających? Brak jest organizacji we wsi, w gminie, brak odpowiedzialności społecznej za to, kto dostanie się do szkół wyższych. Ospałość minionej epoki Ruchu Ludowego ona sprawia straty i dzisiaj, a jakich mogłoby już nie być. Tej żwawej, utylitarno - społecznej polityki brak na wsi, a to jest nasza rewolucyjna polityka!

Obywatelu Ministrze, a wiecie ile tu pism dochodzi? Posłuchajcie wyliczę Wam. 12 wsi, ludności około 7 tysięcy. Punktów wysyłkowych na gminę 41. I tak:

| Nazwa pisma | Punkty | Ilość | Opłata |
| --- | --- | --- | --- |
| Rycerz Niepokalanej | 4 | 170 | bezpłatnie |
| Dziennik Ludowy | 18 | 18 | płatne |
| Chłopski Sztandar | 8 | 8 | płatne |
| „Wici“ | 5 | 5 | trzy bezpł. |
| Chłopi | 4 | 4 | dwa płatn. |
| „Wieś“ | 2 | 2 | płatne |
| | 41 | | |

Co nam ten wykaz mówi? Że życie młodzieży jest uśpione. Trzy egzemplarze „Wici“ w jednej wsi, po jednym w dwóch innych, w dziewięciu pozostałych wsiach młodzież odcięta od świata. Ten wykaz mówi, że społeczne życie zawodowe i gospodarcze nie istnieje tu, a przecież w okolicy rozparcelowano 9 majątków książąt i hrabiów. W pałacu jest elektryczność, szosą przebiega linia węzłowa, są lasy, ludzie się budują i potrzebują budować, tu na majątkach kwitła wysoka kultura ogrodowa — ale niema pism rolniczych, technicznych, spółdzielczych, niema, niema...

Najwyższy wskaznik odnosi się do pism politycznych. W każdej wsi jest „Dziennik Ludowy“, w kilku po dwa egzemplarze, nie we wszystkich „Chłopski Sztandar“. Ale jakże to śmiesznie niska cyfra. Te liczby mają datę nie 1946 roku, ale chyba jeszcze 1890, kiedy wystarczyło, że jeden na wsi, chyżej czytający „durkowane“, dukał zebranym sielsko chłopom w nagrzane południe niedzielne, ale wówczas byliśmy „serdecznym ludem“, wówczas były pańskie latyfundia, książęce mitry, w Sejmie, Zamojscy jeszcze w trzydzieści lat potem kandydatami na głowę państwa. I taki to lud ma rządzić sobą i narodem dzisiaj? Marian Kubicki wrócił w tych dniach z Czech: wychodzą tam codziennie pisma ludowe w nakładzie 200.000 egzemplarzy, podczas kiedy u nas w roku 1938 pismo miejskie, sensacyjne i oportunistyczne „IKC“ zdobyło rekord w nakładzie, nie osiągnąwszy nawet 100.000 egzemplarzy. Osądźmy te różnice. Osądźmy to, że robotnik nasz dziś czyta codziennie 5 pism, a w gminie na 7 tysięcy ludzi czyta 40 chłopów po jednym piśmie.

Ministrze, czy wiecie, że wasze przedsiębiorstwo pocztowe jest deficytowe? Budżet tej Agencji, z której list do Was piszę, obraca się w granicach 12 tysięcy złotych miesięcznie — 6.000 podwoda (płatna, a jakże!) i tylko co drugi dzień. 5.000 pensje czterech pracowników. Ale Ministrze, dochód Wasz ze znaczków na listach i paczkach, z telefonów i depesz nie sięga tej sumy? Ministrze, płakać się chce.

W cztery punkty idzie Rycerz Niepokalanej. Na każdy punkt około 50 egzemplarzy — bezpłatnie. Smutne to, że plebania, która jest najstarszym na wsi kwestarzem i najobfitsze dawniej i dziś zbiera „świętopietrze“, ona nie tylko nie nauczyła chłopów garnąć się do świata, ale ich oduczyła i oducza w dalszym ciągu. Ta propaganda bezpłatna — jakże obfita za świątobliwe chłopskie grosiwo — utrwala starą, ludową tradycję izolacji środowiskowej. Świat poza krzyżem gromadzkim nie ma ceny, nie ma wartości. Nie wyciągają się do niego ręce, nie nasłuchują uszy, nie wypatrują oczy.

Rozsiewacie darmo, proboszczowie, jak z kropielnicy chrzest różańcowych pisemek. Gotowa, długotrwała tradycja oczekuje na ich przyjęcie. Wiecie o tym, ale wiecie również, że to co późniejsze, co świeższe rozbija się o waszą obfitą darmochę. Bo tak, jak na starej wsi była naturalna pomoc sąsiedzka, jak pożyczki bez weksla, jak wieść darmo z gęby do gęby noszona, tak i wasze pisemka wypełniały gromadę, jako grupę religijną, wypełniały ją jako składowy element naturalnego układu wsi wydzielonej i zamkniętej w sobie.

Konkurujecie dzisiaj nie tylko swoimi pismami, konkurujecie inną tradycją kulturalną, z którą bili się przed 40 laty „zaraniarze“, z którą bili się w latach międzywojennych „Wiciarze“. Ale nie tylko robicie to wy — świadomie, czy nie świadomie. Robią to i inni.

Obywatelu Ministrze, śmiem twierdzić, że nie ma i dziś jeszcze na Polskiej wsi demokracji. Bo demokracja wymaga świadomych rzeczy obywateli. Pytam Was, czy byście nie powiększyli personelu Waszych Agencji, gdyby do nich wpływało 5, 10, 50 razy więcej listów, paczek i pism? Pytam Redakcji Pism, czy nie mnożyłyby w setki tysięcy nakłady swych pism, gdyby je tu na wsiach odbierano? I pytam poraz trzeci, kiedy są warunki na demokrację, czy w sytuacji, jaką opisałem, czy w sytuacji, jakiej wyobrażenie dają nam czeskie nakłady?

Toż przecież wieś nie wie nic o życiu Państwa, nie wie nic o swoich stu tysięcznych możliwościach. Odpowiedzą mi, że wystarczy, aby jeden wiedział na wsi, jeden na gminę.

Słyszałem przed paru dniami, jak na kursie wojewódzkim „Wici“ prelegent rozpowiadał szeroko gimnazjalistom i akademikom o ważności kontaktów osobistych, jakto w tych pogwarkach towarzyskich najwięcej się dowiedzieć można.

Ale ów prelegent zamilczał o istocie koła młodzieży wiejskiej. O jego historyczno - społecznym znaczeniu na wsi. Koło i świetlica to było wyjście wsi z tradycji ustnej mądrości starców w izolowanej gromadzie, to było przez pisma, przez książki, radio, kursy i wycieczki wybicie okna na świat.

Ktoś to okno dzisiaj z premedytacją zamyka. Komuś na tym zależy.

Obywatelu Ministrze, dużo się w nowej Polsce mówi o demokracji, więcej jeszcze o jej braku. Żąda się „wolnych“ wyborów. Podkreśla się to żądanie tak, jakby jego spełnienie było zagrożone. Pomstuje się, że są odwlekane. Ale co to znaczy „wolne wybory“? Czy tylko — wszyscy przy urnach i gwarancja nie zafałszowanych kartek? A zafałszowane głowy, które idą do urn? To wolne wybory? A demokracja ludowa to lud, któremu na 200-tu chłopa jeden receptę przyrządza? A na to wskazuje przedstawiony wykaz.

Mamy legalną opozycję rządową. Mamy jej najwięcej na wsi. Niechby była. Ale w jakich warunkach ona się odbywa? Czy każdy chłop-obywatel wie z pierwszego źródła czego chce rząd? Co się w Polsce dokonało, do czego się zmierza? Co on może już dzisiaj zbiorowo i pojedyńczo osiągnąć i jak? Nie wie i opozycja czyni wszystko aby nie wiedział. Jest paradoksalna sytuacja. Pisma opozycji wiodą jeszcze bardziej dychawiczny żywot na wsi. To tylko w Warszawie i po miastach czytana jest łapczywie „Gazeta Ludowa“. Kto ją czyta? Tak zwany średni stan, ten sam, o którym na Plenum Zarządu Z. S. Ch. St. Cieślak mówił: Chłop sprzedał za dwa tysiące złotych metr pszenicy w Warszawie, wypieczono tu białe pieczywo, kosztowało 8 tys. złotych. Kto stracił? Chłop i robotnik, kto zyskał 3/4 „nadwartości“? — Stan średni.

Dlaczego pisma opozycji nie rozchodzą się na wsi? Bo przedłuża się na wsi propagandę, charakterystyczną dla okresu okupacji — propagandę mówioną, propagandę plotki, wieści i legendy. Jest ona bliźniaczą siostrą tego systemu społecznej komunikacji, jaki cechował wieś polską przed pół wiekiem.

Wybaczcie, ale legenda, ale wieść, ale plotka na „słowo honoru“ to nie jest instrument informacji demokratycznej. To nie jest instrument nowoczesnego państwa. A my przecież dziś chcemy demokracji. My dziś jesteśmy odpowiedzialni bezpośrednio za losy narodu. Więc jakże to? Jak na murzyńskiej wsi łoskot bębna „Mzimu“ wystarcza nam do solidarności grupowej, do gotowości „niech żyje i precz“? Wystarcza nam agitator, który z jakiego takiego rozsądku jaki mamy pojedynczo ograbi nas na wiecu i wywoła owczy pęd, i zagra na psychologii tłumu? Wystarcza nam niesiony od chałupy do chałupy poszept? I w takich warunkach łudzimy się, że nasza się staje wola? I nie zdajemy sobie sprawy, że zrzekamy się największego prawa demokracji — prawa do osobistego wiedzenia i osobistego sądzenia? A z jakiej że racji przekazujemy to prawo krążącym łechtaczom „chłop potęgą jest i basta“, z jakiejże to racji naszym rozumem ma władać ich „omnipotencja“?

To co oglądam na tej ostatniej, wiejskiej rozdzielni pocztowej to nie jest walka dwuch racji nowoczesnego państwa. To jest walka przeszłości odległej ze współczesnością. To jest zamknięta szczelnie, odosobniona wieś i gmina, która się natrząsa z Waszej Agencji, Ministrze. Ten telefon polowy (od wojska dar), na którym trzymam rękę, znaczy tu tyle, co monstrum z fantastycznej opowieści. Między bajki kładziony, a nie między dawne a nowe lata wsi rzeczywistej. Ta wiązka mizerna pism, każe mi myśleć o sienkiewiczowskiej Trylogii, gdzie to wśród ludu Zaporoskiego wieść się rozeszła, że pismo spadło na ołtarz w Ławrze Pieczerskiej: A w tym piśmie stało, że wojna i wielkie krwi przelanie...

„Ludu mój ludu...“ czy tak się sprawuje rządy nad swoim narodem?

Ta poczta, której sufit przecieka, w której kierowniczka bierze 1.300 zł i nic krom tego, niechże świadczy, jak nisko stacza się opozycja. Werbuje chłopów nie czytających pism i książek, nie organizujących się gospodarczo i ten zastój i ta powszechna niewiedza oto jej fundamenty.

Ja nie żartuję, ja oskarżam stanowczo. Bo nie macie dla mnie odpowiedzi, nie pismem politycznym, informacyjnym, praktyczno - doradczym, spółdzielczym, rolniczym, oświatowym, wy tą masą rządzicie, wy nią rządzicie przez ominięcie tych środków, choć one obowiązują nowoczesne narody. Wam wystarcza jedno pismo z „Ławry Pieczerskiej“, od którego wieść w lud idzie.. Możecie mieć lud, ale pod warunkiem że on będzie tłumem i masą albo ichmość sobie-panem na zagrodzie otrząsającym się od nowinek, „staro wiernym“ wedle dziada pradziada.

Ale kto wówczas kłamie o demokracji? Kto wskrzesza feudalne rządy nad umysłami w ciemnocie i bierności przytrzymywanymi? Taka jest wasza opozycyjna taktyka przedwyborcza.

Jeszcze, Obywatelu Ministrze, dwa słowa o Agencji. Kierowniczka jest miastowa. Przed wojną nastała na wieś czeską, jakich była spora kolonia na Wołyniu. Właśnie pocztę otwierano na wsi. Jakaż to była uroczystość: fotograf, obchód, przyjęcie. To była wielka sprawa gromady. Jakże o tę rozdzielnię dbano? Gromadzki budynek, poczekalnia — czytelnia. Jak dbano o urzędników? Kartofli, mąki, jarzyn, ,owoców, mleka kierowniczka nie kupowała. I nie obdarowywał jej nikt pojedyńczo. Komitet. Komitet uchwalił, że państwowe pieniądze na opłacenie lokalu, odnoszenie do domów i sprzątanie zostaną przy pracownikach. Ciężar ten przejmie wieś. Dziś pracuje od 8 rano do 9 wieczór i wówczas nie krócej choć dobrowolnie, ale z jaką satysfakcją. Poczta to było oczko w głowie całej wsi, spojrzenia, wypowiedzi, zainteresowanie powszechne i dbałość uskrzydlały tę kobietę w pracy. Pożyczała pieniądze, a kiedy awans zabierał ją ze wsi, ostatniego dłużnika gromada przynagliła do natychmiastowego sprzedania zboża na dług, aby nie mówiła w świecie źle o ich wsi, nawet nie o czeskiej... o ich wsi.

Tu mówi, mała pensja (1.300 zł), ale rozumie dobrze, że przychód nie pokrywa rozchodu to i skądże więcej. Tylko dlaczego wieś? Oto jej cichy, spokojny, latami rozmyślań, odważony żal. Dlaczego wieś mleko jej sprzedaje odciągane, każąc sobie płacić za pełne. Dlaczego listów tak mało, dlaczego pism strasznie mało. Tam, na czeskiej w Polsce wsi, każda gospodyni prenumerowała tygodnik kobiecy. Dlaczego poczta jest niczem tu? Tam, aby postać — ludzie przychodzili. Siadali w poczekalni i patrzyli na tych, co odbierają albo nadają, tam się wszczynały rozmowy, dyskusje, tam się poczta po nocach dzieciom śniła. „Wracam do męża, do miasta. Tym razem bez żalu. Ale żal mi, że chłopska córka, albo chłopski syn nie idą na pocztę. Przecież to placówka kultury, placówka postępu na wsi. Któż ją, jak nie wy, powinien prowadzić? Zróbcie aby ta instytucja łącząca z Polską stała się na wsi tak potrzebna, jak powietrze“.

Ministrze, czyńcie wszystko, aby Pocztowe Agencje Wiejskie stały się tak potrzebne, jak powietrze.

To jest przecież nasza rewolucyjna polityka!

**Jan Aleksander Król.**

**Leonard Sobierajski**

# Akcja: „Przemysł dla wsi“ *)

Byliśmy świadkami faktu, który w tej postaci mógł mieć miejsce tylko w dzisiejszej rzeczywistości. Do stołu obrad konferencyjnych zasiadają równorzędni partnerzy: przemysł i rolnictwo. Wymiana propozycji postulatów nie toczy się w atmosferze jakichś wzajemnych targów, podejść czy zaskoczeń. Interes obywatela — chłopa czy robotnika jest tu obustronnie z dobrą wolą uzgodniony. Jedna strona nie stara się godzić w drugą dla własnych korzyści, strony wykazują właśnie pełne wzajemne zrozumienie. Konferencje, które się odbywały w czasie Zjazdu, były naturalnie poprzedzone długą pracą przygotowawczą, którą podjęły, instytucje tak przemysłowe jak i rolnicze. Tu zebrano się, by wymienić już owoce tej pracy. Ideolodzy gospodarczy rolnictwa analizując stosunek cen artykułów przemysłowych do artykułów rolnych, stwierdzali ostatnio, że stosunek ten kształtuje się, na niekorzyść rolnictwa — gospodarka rolna przestawałaby w tym układzie być opłacalna. Ta perspektywa jest groźna rzecz prosta dla każdego chłopa - rolnika indywidualnie, ale jest tym samym i groźna dla całej gospodarki państwowej. Bo jaki wytworzyłby się stan? Ceny uzyskane za artykuły rolne pozwoliłyby chłopu opłacić tylko własne utrzymanie i koszty produkcji, zabrakłoby mu pieniędzy na inwestycje potrzebne w gospodarce rolnej, a więc nawozy, maszyny rolnicze, na konserwacje budynków, które należy traktować jako warsztat pracy. Doprowadziłoby to do cofnięcia się naszej gospodarki do systemu pierwotnego. Państwo nowoczesne musi mieć jednak i rolnictwo postawione nowocześnie, musi więc chłopa tak urządzić, by miał on możność nowocześnie produkować i nowocześnie swoje artykuły zbywać. Stąd zakrojona na szeroką skalę akcja dla wsi.

## NOWA POLITYKA GOSPODARCZA

Nie jest rzeczą obojętna przypomnieć, że właśnie termin zjazdu zbiega się z drugą rocznicą wydania dekretu o reformie rolnej. Dekret ten w sposób rewolucyjny zmienia strukturę naszego rolnictwa. W okresie międzywojennym mieliśmy drobne warsztaty rolne, których właścicielem był chłop — uprawiał on 56,2 proc. ziemi użytkowej; 43,8 proc. należało do wielkiej własności. W przedwojennym układzie sił społecznych i polityka gospodarcza szła po linii interesów tej warstwy, która skupiała w swym ręku wpływy, a więc po linii, gdy chodzi o rolnictwo — wielkiej własności. Chłop wówczas reprezentował typ gospodarki hodowlanej, wielka własność typ gospodarki nastawionej na produkcję zbóż. Produkcja zbóż była wówczas przez państwo uprzywilejowana. Właściciel wielkiego warsztatu rolnego mógł zboże zbywać po cenach hurtowych, mógł również i zakupywać artykuły inwestycyjne od przemysłu także po cenach hurtowych. Rolnik drobny był w sytuacji diametralnie różnej: sprzedawał i kupował po cenach drobnych, — detalicznych, płacąc tym samym bardzo dużo na rzecz całego szeregu ogniw pośredniczących. Dziś na tym odcinku sytuacja zasadniczo się zmienia. Państwo jako dysponent artykułów przemysłowych wychodzi samo na przeciwko konsumenta - chłopa. Między nim, a odbiorcą staje aparat rozdzielczy — Spółdzielnia. Cała polityka przemysłu nastawiona jest na to, aby produkować jak najtaniej, dostarczać bezpośredniemu odbiorcy jak najsprawniej. Cena artykułów przemysłowych tak została skalkulowana, by mogła być dopasowana do możności nabywczej drobnego rolnika. Tu właśnie widać maksymalną dobrą wolę ze strony państwa.

Stanisław Cieślak, ideolog gospodarczy chłopskiej instytucji Z. S. CH. wysunął niedawno tezę, że ceny artykułów rolnych muszą wobec przemysłowych być w stosunku przedwojennym plus 20 proc. dla rolnictwa. To znaczy, że artykuły przemysłowe muszą być tańsze o 20 proc. od stanu przedwojennego. Taki układ cen da opłacalność rolnictwu, to znaczy stworzy mu możliwość przebudowy, zmodernizowania warsztatów rolnych.

## AKCJA DORAŹNA CZY DŁUGOFALOWA

Nasz aparat przemysłowy już został zmontowany i postawiony na tyle, aby móc rzucić obywatelowi większą ilość artykułów.

Taką właśnie poważną falę artykułów przemysłowych ma się rzucić wsi polskiej. Nie jest to akcja doraźna, szturmowa, jak tłumaczy minister przemysłu ob. Hilary Minc, ale akcja, która rozpocznie regularną już wymianę artykułów między przemysłem a rolnictwem. Wymiana ta jest właśnie tak pomyślana, by postulat rolnictwa został wkalkulowany.

Artykuły przemysłowe jak wyroby metalowe, narzędzia rolnicze, nawozy, tekstylja uległy poważnemu potanieniu, we wszystkich prawie wypadkach nie mniejszemu niż 20 proc. Rolnik — konsument nie jest więc dzisiaj obywatelem drugiej kategorii. Jego słuszne żądania są uwzględnione. Nie ulega wątpliwości, że nasz przemysł w stanie dzisiejszym nie jest jeszcze w możności zaspokoić całkowicie rynku wiejskiego. W każdym razie ilość i jakość jego produkcji będzie tak regulowana, by móc zadawalająco wieś obsłużyć. Na zaplanowany rok bieżący przemysł polski ma dostarczyć naszej wsi towarów za 50 miliardów zł. i to właśnie po cenach, które chłop będzie w stanie zapłacić. Ta akcja jest jak już powiedzieliśmy punktem wyjścia dla regularnych obrotów i wymiany gospodarczej między przemysłem, a rolnictwem. Przemysł dziś jest nastawiony na konsumenta z uwzględnieniem jego możliwości nabywczych. Chłop powinien i musi brać udział w wymianie gospodarczej. Przed wojną 61 proc. ludności wiejskiej brało udział w konsumowaniu dóbr przemysłowych tylko w 16 proc. Było to bliskie stanu pierwotnego, chłop nie mógł korzystać z udogodnień cywilizacyjnych, chłop był prawie poza orbitą, jak powiedział na zjeździe inż. Bobrowski, obrotów gospodarczych.

Stanu idealnego od razu nie możemy się spodziewać, gdyż tak rolnictwo jak i przemysł znajdują się w stadium odbudowy, tym konieczniejsza i cenniejsza jest ścisła między nimi współpraca. Przemysł działający poprzez swoje instytucje: Centralne Zarządy Zjednoczeń Przemysłowych i rolnictwo, reprezentowane przez Z. S. Ch. pracują dziś nad tym, aby chłop przestał być „kmiotkiem“ porająсym się na swoich kilku morgach, ale aby stał się obywatelem - rolnikiem, który ma oparcie w państwie i może zawsze na jego pomoc liczyć.

*) Uwagi w zwiazku ze Zjazdem w Warszawie: „Przemysł dla wsi“, który odbył się 6 i 7 września br.

Witold Zalewski

# Powrót Piotra

## (fragment opowiadania)

BYŁ DOPIERO szary, wilgotny świt, kiedy Piotr Kuryła zajechał galopem przed chałupę swojego ojca. Stary nie spał już od kilku godzin. Wstał wcześnie po północy i odrazu zaczął się kręcić przy samogonie. Rano musiał zwrócić aparat Staszakowi razem z dziesięcioma litrami bimbru, które mu się należały za przemyślność i spryt do budowania takich rzeczy. Miesiąc temu Maciej sam próbował zrobić aparat, ale po trzech razach kociołek rozlutował się i wyszła z tego tylko strata dwóch tysięcy złotych, wydanych na blachę, cynę i inne materiały. Staszakowi wszystko samo wychodziło z pod rąk, jakby nie wkładał w robotę żadnego wysiłku. Siedząc na taborecie, w małej komórce bez okien, ciepłej i pełnej pary, Maciej myślał leniwie, ale bez odrobiny zazdrości, jak ten człowiek potrafi zrobić każdą rzecz, którą choćby raz trzymał w ręku. Zdolna bestia, nie dziw więc, że Leszek ze dworu ma z nim konszachty. Wczoraj przyszedł do niego do chałupy z jakimś nieznajomym i Maciej, podsunąwszy się pod okno, słyszał, jak radzili o broni i o polityce. Piotr też z nimi kombinował. Przyjaźnił się ze Staszakiem oddawna, a teraz we dwóch stowarzyszyli się z tym Leszkiem. Maciej rozmyślał niemało o ich robocie. Był kontent, że syn zadaje się z kuzynem dziedzica, jako równy z równym. Pochlebiało to jego ojcowskiej ambicji, chociaż park dworski, przedzielony od wiejskich zabudowań wysokim płotem i rzędem starych, rozłożystych lip, gniewał go i wzbudzał zazdrość. O te lipy właśnie miał wczoraj sprawę z młodym dziedzicem — Bucyną. Spotkali się na wąskiej grobli, łączącej park z łąkami nad rzeką. Bucyna szedł od kąpieli, dźwigając swoje wielkie brzuszysko i różne prześcieradła, przerzucone przez ramię. Mimo, że miał całkiem siwy łeb, a na twarzy pełno zmarszczek, był jeszcze ciągle „młodym dziedzicem". „Stary" ani myślał umierać. Kręcił się po podwórzu, jeździł dryndulką po polach, dobijał swoją starość, ale nie chciał dopuścić zięciunia do rządów. Miał w tej sprawie doświadczenie z przed 15-tu lat, kiedy mu ten leniwy brzuchacz zmarnował i przejadł pół majątku. Ta cicha walka wyobraźni i woli, w której do czynów nie dochodziło tylko z braku odwagi walczących, niezmiernie interesowała Macieja, wywołując wspomnienia rządów Bucyny, kiedy to tak łatwo było coś uszczknąć z dobra dworskiego. Starał się więc przypodobać młodemu dziedzicowi i przy każdej okazji poprawiał jego samopoczucie, budząc w nim nadzieję na rychłą śmierć „starego". I teraz, usuwając się na skraj dworskiej grobli, żeby przepuścić jego potężną postać, szukał w głowie, czymby go uradować. Bucyna zatrzymał się przed nim, jakby oczekując pochlebstwa.

— Co nowego, Macieju? — zahuczał, uchyliwszy białą czapeczkę.

Z za zakrętu grobli wyszły dwie panny w kusych majtkach, świecące gołymi udami. Za nimi rozweseleni panicze, synowie Bucyny i ponury Leszek. Zobaczywszy Macieja, Leszek uśmiechnął się i grzecznie ukłonił. Kiedy towarzystwo minęło ich, Maciej zwrócił się do Bucyny.

„Mam zmartwienie, proszę pana dziedzica".

Bucyna udał zainteresowanie.

„Wszystkie kartofle na tym kawałku, koło parku zmarnowały mi się, bo dworskie lipy zaciemniają mi całe pole. Póki starszy pan gospodaruje, to ja nic nie mówię, ale pana dziedzica — będę prosił, żeby kazał ściąć one lipy".

Bucyna skrzywił się. Tłustą rękę obrócił dłonią do góry i tłumaczył:

„Wie Maciej, ile te lipy mają lat? One są starsze od całej waszej wsi. Ja ich nie zetnę. Lepiej niech Maciej odsprzeda nam ten kawałek pola".

Teraz, siedząc na zydlu przy aparacie, Maciej splunął na wspomnienie takiej herezji. Dla głupich lip odsprzedać pole! Jaka pańska chciwość! Podniósł się ze stołka i dolał wody do kotła. Przypomniał sobie znów Leszka, jego chmurną twarz w otoczeniu rozbawionych, pańskich dzieci. Dopiero przy chłopach odzyskiwał on wesołość i stawał się rozmowny. Umiał gadać. Raz zastał go Maciej u Piotra; po dwóch szklankach wódki rozgadali się o polityce. Leszek tłumaczył, że Wola zostanie po wojnie podzielona między chłopów.

„Wy — mówił do Macieja — weźmiecie sobie park razem z tymi starymi lipami, których dziedzic nie chce ściąć, choć przez nie gniją wam na polu kartofle... Będziecie mieli z nich opału na parę lat albo budulcu na nowe stajnie i stodoły".

Maciej przytakiwał i przypijał w odpowiedzi do tego dworskiego odszczepieńca. Wiedział, co o nim myśleć. Ani chybi mścił się za to, że nie miał nic z majątku, choć był wnukiem brata dziedzica. Wojna zagnała go do dworu krewnych, gdzie uczył młodszych Bucyniaków. Ale głowę miał mocną. Wypił już trzy szklanki bimbru, rozgadał się o polityce, jednak nie powiedział nic takiego, żeby go można przyłapać: „robisz, bratku, to a to, skupujesz broń, jesteś konspirator".

Nawet mitygował Piotra, który upił się i bełkotał coś o karabinie maszynowym. Staszak patrzył swoimi zielonymi ślepiami, jak zły kocur. Wódka na niego nie działała. Przysunął się z krzesłem do Leszka i coś mu szeptał do ucha, patrząc równocześnie na Macieja. Maciej odwzajemniał mu się jednakowo obojętnym spojrzeniem, ale zarazem potężnie wysilał słuch, żeby pochwycić coś nie coś z ich tajemnic. Zrozumiał tylko, że mówią o bogatym młynarzu z Jelenia, którego ludzie nazywali Ukraińcem. Leszek kiwał głową, ale zrobił się czerwony na twarzy i jakiś nieswój. „Zdolnyś do wszystkiego, ale najwięcej do złodziejstwa" — pomyślał Maciej o Staszaku. Przypomniał sobie, ile to razy spotkali się na pańskim. Nikt z chłopów nie wyniósł tyle snopków, nie nakopał tyle dworskich kartofli co Staszak. Polowi unikali go, choć nie był wcale skory do bitwy i lubił nawet grzecznie ustępować z drogi. Aż dziw było, dlaczego chłopi tak się bali człowieka, który nigdy nie pokazywał swej siły. Niewiadomo skąd, od pierwszego dnia, kiedy sprowadził się do swojej żony i zamieszkał na uboczu wsi, wszyscy przyjęli prawo, że należy mu ustępować z drogi. Maciej sam, chociaż go lubił i nie był znowu taki lękliwy, tracił czasem rezon pod złym spojrzeniem burych oczu.

Wstał z zydla i dolał wody do kotła. Ciśnienie w aparacie opadło. Wziął kwartę, podstawił pod rurkę i odkręcił kurek. Spirytus był jeszcze za mocny. Maciej skrzywił się. Wtedy usłyszał turkot wozu na kamieniach. Piotr zajechał na podwórze takim galopem, że aż szyby zabrzęczały w oknach. Maciej wrócił do izby i narzucił kożuch na plecy. W sionce owiał go dojmujący ziąb ze dworu, a wilgoć przylgnęło pod bielizną do jego suchego ciała. Zaszczękał ostro zębami z tego chłodu, a trochę ze złości na syna, który marnuje kobyłę po nocy. W białej mgle, tak gęstej przy ziemi, że się ją czuło na gołych stopach, kłęby pary dymiły z konia, a Piotr siedział na wiązce, zwiesiwszy głowę na piersi. Spał. „Schlał się, jak świnia" — pomyślał Maciej ze złością. Zaszedł go od tyłu i trzasnął z rozmachem w kark. Piotr zwalił się ciężko na twarz. Dźwigając go, Maciej poczuł na dłoniach ciepło. Szybko wyciągnął ręce. „O, krew..." — powiedział głośno i przestraszył się. Budząc żonę był już jednak zupełnie spokojny. „Wstawaj, Piotra nam zabili".

W dwie godziny potem, kiedy ciało umyte i przebrane, jak potrzeba, leżało na łóżku, a baby z całej wsi lamentowały szczerze i obłudnie nad nieszczęściem Kuryłów, przyszła Wagramska — komornica Staszaka, z miną zwiastującą nowinę. Jej lisia twarz, wietrząca stale za ludzkim nieszczęściem, była teraz podwójnie uradowana.

Tego ranka wstała przed wschodem słońca, żeby wykopać trochę dworskich kartofli na polu koło wygonu. Ziemia stwardniała i ciężko było w niej robić motyką, ziąb ciągnął od spodu, aż kostniały bose stopy i marzły łydki. Ale kartofle były piękne, wczesne amerykany, jeden w drugi, już o tej sierpniowej porze wielkie jak pięści, a czerwone jak jabłka. Musiała sobie często przerywać robotę i rozglądać się, żeby ją w gęstej mgle, która legła na ziemi, nie zaszedł polowy. Ukopała już z pół koszyka, kiedy od strony bystrzyckiego lasu usłyszała gwałtowny turkot wozu. Ktoś jechał galopa i stwardniała ziemia niosła z daleka dudnienie kół i kopyt konia. Zarzuciła sobie na rękę koszyczek i przebiegła przez drogę. Zaraz z brzegu stała stodoła Staszaka, więc przycupnęła przy niej razem ze swoją zdobyczą. Ze mgły wynurzył się pojazd, pędzący na złamanie karku. Dwóch ludzi siedziało na wiązce. Kiedy dojeżdżali do stodoły jeden zeskoczył z wozu. Wagramska poznała Staszaka. Stał chwilę na drodze, patrząc za tamtym, który pędził do wsi. Teraz klęcząc pobożnie przed łóżkiem zabitego, Wagramska wiedziała, że to on był owym galopującym woźnicą. Staszak miał przewieszony przez ramię karabin. Wagramska przestraszyła się i złapawszy koszyk z kartoflami przebiegła na drugą stronę stodoły. Ale ciekawość podkusiła ją, więc ostrożnie wysunęła głowę z za węgła. Staszak stał od niej o kilka kroków, odwrócony plecami, coś robił przy snopku żyta. Chował karabin. Więc była właścicielką tajemnicy, miała w ręku tego hardego złodziejaszka i jego babę, która prześmiewała się z cudzej biedy i samotności. Tak! Staszakowa nieraz dokuczała Wagramskiej, kpinkując, że obie z nędzą mordowały chłopa, aż przed nimi uciekł do Prus. Przestaniesz się naigrywać z ludzkiej nędzy, nie będziesz się już przechwalała swoim Antosiem.



*Rys. Stanisław Cieloch*

W sieni natknęła się na Macieja. Zezował ponuro swoimi małymi oczkami, był blady i podobny do nieboszczyka. Odciągnęła go na skraj podwórza i tam, dławiąc się podnieceniem, opowiedziała wszystko. Maciej wysłuchał milcząc, przytaknął, kiedy jęła się zaklinać, że Staszak zabił Piotra, ale nie myślał wtajemniczać jej w swoje zamiary i kiedy skończyła nie powiedział nawet dobrego słowa. Musiała więc odejść, pozbawiona tajemnicy, nie doczekawszy się spodziewanej satysfakcji.

Izba zamieniona na żałobną kaplicę zapełniała się wciąż nowymi ludźmi, a i ci, co przyszli wcześniej, nie zamierzali odchodzić, baby przyłączały się do lamentującego chóru, mężczyźni zbierali się w sionce, lub pod oknami. Wewnątrz był półmrok, bo pozamykano okiennice i tylko żółty blask gromnicy oraz szara smuga światła, padająca z otwartych do sieni drzwi, rozjaśniały ciemność. Nisko przy ziemi czarny chór kobiet ciągnął „wieczne odpoczywanie". Przy łóżku wysokim i równym płomieniem paliła się ślicznie malowana gromnica, a przygotowane obok woda święcona w srebrnej misce i kropidło czekały na proboszcza, po którego już pojechał brat nieboszczyka. Matka, spuchnięta od płaczu, jęczała i tłukła głową o kant łóżka, zmienionego na katafalk. Kulawa Staśka, jedyna siostra Piotra, która go podobno bardzo kochała, popłakiwała cicho, przykucnąwszy w nogach. Piotr leżał na posłaniu, tak nie pasujący do roli nieboszczyka, aż jego koledzy, którzy przyszli tutaj, stawali w progu niepewni i speszeni. Był ubrany w czarny, porządny garnitur, w białą koszulę, nowe, żółte pantofle. Długie jasne włosy miał starannie zaczesane do góry. Nawet śmierć nie przestraszyła go i łobuzerskim uśmiechem, twarzą zadowoloną ze śmierci niepokoił i gniewał zawodzące babiny. Śpiewały wciąż monotonnie, ale z uporem, jakby chciały przekonać tego niedowiarka, że nie ma się z czego śmiać. Ludzie zeszli się z całej wioski, nikt nie odchodził, wszyscy czekali na dokończenie dramatu, na rozwiązanie zagadki. Przyjechał ksiądz i ludzie przyklękli na drodze, na podwórku, jak kto stał, przed Najświętszym Sakramentem. Proboszcz nie był pewny swego. Zabity — awanturnik i „polityk" nie cieszył się u niego dobrą opinią, ale sprawa była tajemnicza i ksiądz wietrzył w niej aferę polityczną. (Kto wie czy ten chłopak nie zginął bohatersko od wrogiej kuli?). Ułożył więc twarz w czcigodne kapłańskie fałdy, namaścił nieboszczyka, wyspowiadał całą rodzinę, pokropił zebranych i odjechał w turkocie wózka, w tumanie kurzu, w hałasie dzwoneczka. Po jego odjeździe baby opadły na siłach, milkły jedna za drugą, aż wreszcie tylko kilka co pobożniejszych na przedzie modliło się głośno o zbawienie Piotrowej duszy. Staśka, zmęczona płaczem przysiadła na stołeczku i załamawszy ręce wpatrywała się w twarz brata. Tylko matka klęczała ciągle, ukryła twarz w dłoniach, ale i w niej płacz przycichał.

W izbie zrobiło się przestronniej a przez to widniej, bo ludzie wynieśli się przed dom; tam łączyli się w grupki, rozprawiając o wypadku. Wagramska z początku utrzymywała tajemnicę. Ale tak ją korciło i nie dawało spokoju, że opowiedziała wszystko najpierw sołtysce, a potem najdumniejszej gospodyni ze wsi Toporowiczowej. Rozniosło się to po ludziach, jak zaraza. W pół godziny wszyscy wiedzieli, że Staszak wplątany jest w zabójstwo Kuryły. Wagramska — komornica i dziadówka rozprawiała teraz z pierwszymi gospodyniami jak z równymi. Jeszcze przed siódmą sołtys pojechał na policję do Ł., więc chłopi pochowali dobrze aparaty i bimber, ukryli niekolczykowane prosiaki, a jeśli kto miał więcej mąki, masła, albo słoniny, to wynosił zapasy z chałupy i ukradkiem przed ciekawością sąsiadów, umieszczał w jakiejś najbardziej zakonspirowanej komórce. I tak wiedziano, że gruby Szelążek weźmie to, co ma wziąć, ale każdy oglądał się na drugiego, dlaczego sam miał płacić. Była jednak we wsi grupa, która myślała wtedy o czym innym. Rudy, jak marchewka — Szostak, ospały za dnia Jakubiaczek, największy zabijaka Kardasz — bratanek sołtysa, oraz przebiegły Janczarek — bezrolny, zebrali się po drugiej stronie drogi naprzeciwko Kuryłów i radzili o poważniejszych sprawach. O godzinie ósmej przyszedł Staszak. Szedł ścieżką obok drogi, wysoki, z zadartą hardo głową. Dzieci czmychały na boki i uważnie oglądały go z za węgłów. W gromadzie ludzkiej przed chałupą Kuryłów najpierw zawrzało, a potem ucichło. Wszyscy ustępowali mu z drogi, więc szedł jakby wysadzoną alejką, mówiąc „dzieńdobry" niektórym gospodarzom. Odpowiadali mu mrukliwie, ale odpowiadali. Przed wejściem do sionki chwilę się zawahał, spojrzał po ludziach, miał takie same oczy, jak codzień, zdarł z głowy czapkę i wszedł do chałupy. Babiny zawodziły. Kiedy stanął w progu, obejrzały się na niego i odrazu jakby im odebrało mowę. Zrobiła się cisza, przerywana tylko jękami Kuryłowej i pociąganiem nosa Staśki. Stąpał wolno, skrzypiąc podłogą. Na krok przed Piotrem ukląkł na jedno kolano i pochylił głowę. Baby milczały. Izba znowu zapełniła się ludźmi. Chłopi przystawali w sieni i zaglądali do środka. Staszak podniósł się i nachylił nad Staśką: „Gdzie ojciec?" — zaszeptał. Nawet nie podniosła głowy. Odwrócił się od niej bez słowa i nie patrząc na nikogo wyszedł z kaplicy. Ale Maciej stał sam o parę kroków od chałupy, oparty o sztachety. Staszakowi wydał się zakłopotany. Podszedł do niego. Przeszli w głąb podwórka, aż pod stodołę, gdzie nie było nikogo.

„Antoś, co się to stało, Antoś?" — stary nalegał, ciągnąc Staszaka za rękaw.

Antek popatrzył: — „Takie nieszczęście".

Kuryła raptem stwardniał. Puścił Staszakową kurtkę. — „Ty, kto mi zabił syna? Niech wiem, na kim ja mam poszukać zemsty".

— „Banda go zabiła. W lesie bystrzyckim koło krzyża, co się skręca na przystanek".

Łgał. Kuryła wiedział, że łże. Ale nie potrzebował się niecierpliwić. Powoli mógł się mścić, bez pośpiechu. Spojrzał w stronę dworu, który świecił między wysokimi lipami, a potem na Staszaka.

— „A ty wiesz, co ludzie mówią?"

Staszak wytrzeszczyk oczy. — „No?"

„Żeś to ty jego zgładził. A co on tobie zawinił, Antoś?"

Wydało mu się, że Staszak przybladł.

— „Nie mówcie, Macieju. Przecież mnie zmarnujecie, jak będziecie tak mówić".

Adam Polańczyk

# Złota międzynarodówka działa

Amerykański minister spraw zagranicznych Byrnes wygłosił w Stuttgarcie przemówienie, w którym wziął w obronę Niemców, a zakwestionował nasze prawa do ziem nad Odrą i Nissą. Przedmiotem ataków ministra Byrnesa stały się oprócz Polski także Z. S. R. R. i Francja. „Biedne" Niemcy doczekały się obrońcy, który w ich interesie stara się poróżnić między sobą aliantów, doprowadzić do tarć i rozdźwięków między nimi w momencie, gdy otwierają się możliwości odbudowy świata na zasadach lepszych i sprawiedliwszych niż te, które obowiązywały dotychczas, świata wolnego od grozy faszystowskiego niebezpieczeństwa.

Znaczenia mowy Byrnesa nie należy przeceniać: Byrnes to jeszcze nie całe Stany Zjednoczone. Już mamy relacje o niechętnym przyjęciu tego niefortunnego wystąpu przez opinię amerykańską. Dlatego też ciche zadowolenie naszych „nieprzejednanych" łudzących się nadzieją, że mowa stuttgardzka to pierwsza jaskółka trzeciej wojny światowej, jest chyba mało uzasadnione. Byłoby jednak ślepotą i lekkomyślnością twierdzić, że mowa Byrnesa — to po prostu indywidualny, prywatny wybryk polityka, któremu zachciało się nagle — wbrew interesom i Stanów Zjednoczonych i wszystkich innych demokratycznych państw świata — prowadzić „własną" politykę.

Gdyby tak istotnie było, to dymisja Byrnesa mogłaby rozwiać wszystkie obawy i dać pełne zadośćuczynienie narodom zaatakowanym przez niego w imię niemieckich interesów. Pamiętamy z Pisma świętego historię o oślicy Baalama, która przemówiła ludzkim głosem. Cud ten zainscenizował Jehowa, ażeby skłonić Baalama do życzliwości wobec Izraelitów i odciągnąć go od popierania ich wrogów. Przez usta Byrnesa nie przemawiał napewno Jehowa. Bardziej nawet prawdopodobnym zdaje się być przypuszczenie, że amerykańskim mężem stanu posłużył się jako narzędziem pewien stary wróg osobisty Jehowy, słynący wśród naszego ludu pod imieniem „Lucypera".

Ale żart na stronę. Byrnes nie jest żadnym niepoczytalnym Filipem z Konopi, Byrnes **wiedział dobrze, co mówi i w czyim interesie.** Byrnes przemówił w Stuttgarcie jako nieoficjalny rzecznik nowojorskiej ulicy banków — Wall-Street, jako reprezentant „złotej międzynarodówki".

Trudno orzec, czy natychmiastowy wybuch wojny byłby na rękę międzynarodowej finansjerze, ale pewne jest, że ujawniły się i czynny udział w życiu międzynarodowym zaczynają brać idee i siły społeczne, których zniszczenie leży w interesie tej finansjery — więcej: jest dla niej kwestią życia lub śmierci. Idee te: to przede wszystkim demokracja, siły te: to przede wszystkim masy ludowe Rosji sowieckiej i tych krajów Europy, które odważnie wkroczyły na drogę zasadniczych reform ustrojowych, zrywając bezwzględnie z przeszłością.

Nie wiem, czy Byrnes jest jako człowiek wrogiem Polaków. Możliwe nawet, że nie. Tym niemniej Byrnes głosi poglądy groźne dla nas z dwu względów:

1) domaga się zmniejszenia obszaru Polski, a przez to samo osłabienia jej potencjału gospodarczego,

2) chciałby widzieć u nas taką zmianę frontu politycznego, która gwarantowałaby możliwość uczynienia Polski narzędziem polityki Wall-Street, co w naszych warunkach równa się obaleniu rządu ludowego, przekreśleniu wprowadzonych ostatnio w życie reform, powrotowi — w takiej czy innej formie rządów — łagodnie się wyrażając — „prawicy".

A więc czym miałaby stać się Polska w koncepcji „złotej międzynarodówki"? Jakimś „pograniczem wojskowym", bazą dywersji antysowieckiej oraz bazą reakcji społecznej i militaryzmu w środkowowschodniej Europie. Bardzo nam przykro, ale — jak to w naszych stronach mawiają — „ten numer nie przejdzie". Wiemy, że nie wszystko u nas wygląda tak, jak wyglądać powinno, że wiele przykrości i ciemnych stron naszego życia ma źródło nie tylko w owych sakramentalnych „trudnościach powojennych", ale przede wszystkim wiemy dobrze, że załamanie się naszego obecnego ustroju byłoby wstępem do nieuniknionego triumfu reakcji, a przejście na politykę antysowiecką równałoby się narodowemu samobójstwu. Z tych faktów zdaje sobie dobrze sprawę każdy rozsądny Polak, niezależnie od barwy wyznawanych poglądów politycznych.

Minister Byrnes nie reprezentował bynajmniej w Stuttgarcie demokracji amerykańskiej, nie reprezentował narodu Waszyngtona i Wilsona, a tylko bankierów z Wall-Street. I nie o Polskę wyłącznie chodziło w tym wypadku min. Byrnesowi: jego mowa była właściwie szantażem w stosunku do Sowietów i wszystkich ich sprzymierzeńców, była balonem próbnym „złotej międzynarodówki", puszczonym dla wybadania sytuacji w Europie.

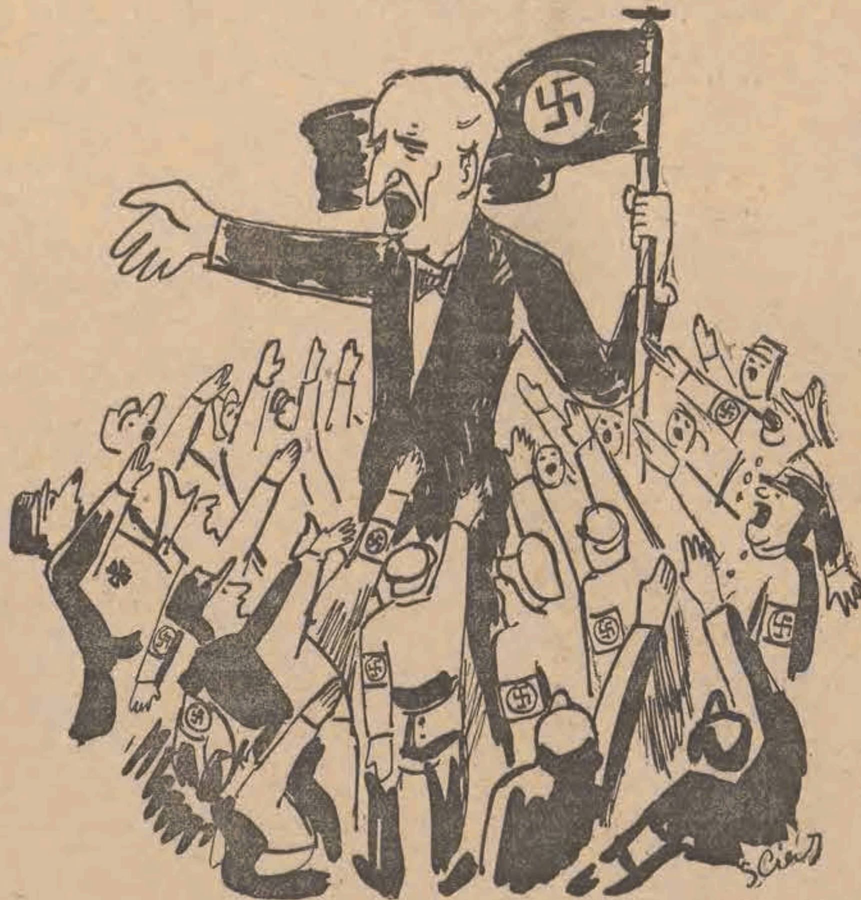
Mowa Byrnesa uczyniła wiele spraw jasnymi i zrozumiałymi. Wiemy, że „złota międzynarodówka" nie rezygnuje ze swoich ambicji ukrytego władania światem, że dla osiągnięcia swego celu gotowa jest ona posunąć się do poczynań mogących zagrozić światu nową zawieruchą wojenną, że los narodów i sprawiedliwość społeczna i polityczna to dla niej taki sam towar jak ropa naftowa czy ruda żelazna.

Ale „złota międzynarodówka" trafiła źle. Nie wiemy, co o tych sprawach sądzą na Wall-Street, ale my nie będziemy nigdy handlowali honorem narodu i krwią polskich żołnierzy przelaną na wale pomorskim i nad Odrą. Ziemie polskie nie mogą stać się przedmiotem dyplomatycznych matactw i szacherek. O jakichkolwiek ustępstwach pod tym względem mowy nawet być nie może.

Min. Byrnes oddał nam niemałą przysługę: przyczynił się do scementowania jedności naszego narodu.

Mowa stuttgarcka wyjaśnia nam wiele, ułatwiła nam zrozumienie sytuacji międzynarodowej i wyrobienie sobie właściwego poglądu na siły kształtujące ją. Dziś każdy uczciwy i rozumny Polak udzieli bezwarunkowo poparcia swemu rządowi w sprawie nienaruszalności naszych granic zachodnich, bo nie może być różnicy zdań tam, gdzie rozstrzygają się losy narodu.

HEIL BYRNES!



Rys. Stanisław Cieloch

Mowa stuttgarcka Byrnesa wywołała wielki entuzjazm wśród Niemców.

Leszek Goliński

# Łużycom wolność

Historia Łużyc jest historią walki. Walki na śmierć i życie z nieubłaganym wrogiem, który z iście pruską systematycznością przez dziesięć niemal wieków dążył dzień po dniu do wytępienia i zgermanizowania tego dzielnego, małego narodu. Jeżeli po dziesięciu wiekach naród łużycki żyje, jeżeli po rządach Geronów, Bismarków i Hitlerów nie stracił poczucia swojej dumy i niezawisłości, zawdzięcza to w głównej mierze ziemi. Ziemia prochów słowiańskich, ziemia łużycka kazała Łużyczanom wytrwać, przywiązanie do niej było mocniejsze niż śmierć, niż niedola, niż krematoria i obozy koncentracyjne. Tylko na takiej glebie, ukryty w lasach i bagnach naród łużycki jak mocny dąb ostał się i przetrwał. A obok żywicielki ziemi kazały mu przetrwać słowa jego niekoronowanych królów i wodzów duchowych — poetów. Pisarze i poeci łużyccy wyrośli z ludu, bo naród łużycki był zawsze narodem chłopów. Obszarnik, kupiec, urzędnik, to właśnie awangarda germanizatorów, którzy bronią i pieniądzem, uciskiem moralnym i materialnym walczyli i walczą, tak, ciągle jeszcze walczą o dusze narodu łużyckiego. Naród łużycki, ostatni bastion słowiańszczyzny patrzy na nas, chce od nas pomocy. W godzinie zwycięstwa prawa nad bezprawiem, wolności nad uciskiem, ćwierć miliona Łużyczan jest nadal pod jarzmem zdruzgotanego narodu „panów". Jeżeli świat cały zainteresowany jest dziś w udzieleniu autonomii Nadrenii, choć zamieszkała jest ona przez Niemców, czemu ten sam świat milczy o Łużycach, choć zamieszkuje je najbardziej chyba bohaterscy Słowianie? Łużycom wolność!

Historia Łużyc jest historią walki. Dlatego poezja łużycka uderza albo w ton beznadziejności, widząc tej walki nierówność i przesądzony z góry wynik, albo zagrzewa do boju, albo apeluje do sumienia świata. Jakub Bart-Ciszinski walczy z obojętnością Słowian, walczy o czystość języka, o duszę swego narodu. Patrząc na naród polski i oczekując odeń pomocy woła: Trzymałem się i będę się trzymał kryształowych gwiazd Polski, Krasińskiego, Słowackiego, Mickiewicza, Wyspiańskiego, Kasprowicza. On wznosi „Serbski dom", centralę ruchu łużyckiego w Budziszynie. Umiera z piórem w ręku w r. 1909. Czy Polska pozostała obojętna na jego wołania? Nie wiele zrobiliśmy przed wojną. Obecnie powstały referat łużycki przy Komitecie Słowiańskim w Polsce i Akademicki Związek Przyjaciół Łużyc „Prołuż" — oba z siedziba w Poznaniu — w miarę swoich sił i środków walczą o niezaprzeczalne prawa do wolności naszych braci i sąsiadów zza Nissy. Owocność jednak ich pracy zależna jest od poparcia całego społeczeństwa. Sprawa wolności Łużyc musi znaleźć się na forum międzynarodowym.

Poniżej pozwolę sobie przytoczyć w mo im wolnym przekładzie parę wierszy Jakuba Barta-Ciszinskiego, najlepiej obrazujących walkę narodu łużyckiego i o naród łużycki:

*O RATUJ, PANIE BOŻE, SERBY MOJE!*

*Nad wszystko kocham was, o Serby moje!*
*Was, moją radość, w sercu moim noszę.*
*Za was pokornie modlę się i proszę:*
*O, ratuj, Panie Boże, Serby moje!*

*Nad wszystko kocham was, o Serby moje!*
*Dla was choć zginąć — jedyną rozkoszą,*
*I za was wołam i o was się proszę:*
*O, ratuj, Panie Boże, Serby moje!*

*Kiedy zaśpiewa rodaków gromada*
*Klękam i ręce do modlitwy składam:*
*O, ratuj, Panie Boże, Serby moje!*

*I w dzień i w nocy krzyk z mej piersi rwie się,*
*Może usłyszą go na tamtym świecie:*
*O, ratuj, Panie Boże, Serby moje!*

*SERBSKI BAŚNIK*

*Ciężko tworzyć was jednak, moje serbskie pieśni,*
*Z popiołów, z mogił zbierać dawne Serbów czasy,*
*I układać je w strofy i w przepychu krasy*
*Kłaść je Serbom przed oczy, oświecać i wieścić...*

*Ciężko jest rzecz przeklętą znowu ucieleśnić,*
*Plewić chwasty, przez gęste przedzierać się lasy,*
*I jądro z bezimiennej wydobywać masy,*
*I słowa, niby drużki, całować i pieścić...*

*Ciężka praca — a znikąd od Serbów podzięki:*
*I księgom i piosenkom smutny chyba koniec,*
*Bo nikt już nie wyciąga przyjacielskiej dłoni...*

*Pióro oto z zdrętwiałej wypada mi ręki, — — —*
*O Serby! Nie pozwólcie swoich dusz bezcześcić!*
*Wróćcie się do ojczyzny naszej serbskiej pieśni!*

*SŁOWIANOM*

*Bracia! Patrzcie! Słuchajcie! Oto na północy*
*Mała łódź z morzem walczy i z mocą olbrzyma*
*Ciągle płynie i ciągle na falach się trzyma*
*Choć fale chcą ją zniszczyć, przydusić, przytłoczyć*

*I coraz ją znajdują i wciąż tracą oczy*
*I żagle wicher białe na masztach wydyma.*
*Żeglarze! Byle wytrwać! Bracia! By wytrzymać!*
*Czy południe pomoże? Skąd czekać pomocy?*

*Ach! Nikt nie śpieszy łodzi małej na ratunek!*
*A ojciec, matka, dzieci — wszyscy na głębinie,*
*A łódź zdruzgocą fale, rozbiją pioruny!*

*Na pomoc, komu w piersi serce jeszcze tętni!*
*Niech ratują nas bracia, ruszą obojętni!*
*Zanim człowiek ostatni w naszej łodzi zginie!*

Leon Sobociński

# Kaszubszczyzna

(reportaż)

Region kaszubski jest jednym z najciekawszych regionów naszego kraju i zarazem... najmniej bodaj znanych.

Zwykły, szary Polak o Kaszubach wie tylko tyle, że to jest zamieszkały nad morzem silnie zniemczony szczep polsko - lechicki, z którym trudno się porozumieć ze względu na jaskrawą odrębność tego „śmiesznego" dialektu.

Takie i tym podobne bzdury, szkodzące w najwyższym stopniu wzajemnemu zbliżeniu się Kaszubów z Macierzą, pokutują po obecny dzień. Wzajemne urazy i uprzedzenia należy, więcej — trzeba łagodzić, zaleczać. Dawna Polska posądzała Kaszubów o dążności separatystyczne; dawniejsi Kaszubi rządy drugiej Rzeczypospolitej na tym skrawku nadmorskim traktowali jako sanacyjną, wewnętrzną okupację.

Jestem w Wejherowie, w stolicy Kaszub! Stolicy? Już widzę gdynian, kościerzyniaków, gdańszczan oburzających się na moją ignorancję. Czy tak? Z tą stolicą Kaszub to cała historia. Do miana stolicy Kaszub pretenduje tyle prawie miast, ile ich na mapie wyliczyć potrafi czytelnik.

Spór zresztą to jałowy, teoretyczny i można się nim nie przejmować a traktować najwyżej jako wyraz lokalnego patriotyzmu.

Jedno, co można stwierdzić, że dziś Wejherowo urasta do rozmiarów centrali kaszubskiego ruchu umysłowo - kulturalnego. Nie jest nią Gdynia, choć skupiła na Wybrzeżu największą ilość literatów, choć ma swoje środy, czy czwartki literackie. Jest to standartowa literatura, nie jest to kaszubska literackość.

Nie jest stolicą umysłową Kaszubszczyzny Gdańsk, choć oczywiście jest stolicą administracyjną. Niewątpliwie w niedalekiej być może przyszłości będzie inaczej, ale chwilowo tak jest.

Narazie zaszczyt ten należy się Wejherowu. Posiada do tego pełny tytuł. Tu bowiem wychodzi „Zrzesz Kaszebsko", czasopismo informacyjno - polityczne, ukazujące się trzy razy w tygodniu, wraz z dodatkiem literacko-naukowym „Checz" (Chata), redagowane częściowo w języku literackim polskim, częściowo (dział literacki i kronika miejscowa) w dialekcie kaszubskim. Wejherowo jest siedzibą koła literatów i pisarzy kaszubskich pod nazwą „Vjitrznio". Istnieje amatorski teatr kaszubski im. J. Derdowskiego (pisarza i poety kszubskiego). Powstać ma Dom Kultury Kaszubskiej.

To są pozycje ważne.

Mimowoli nasuwa się dygresja. Czytało się tyle na temat potrzeby czy zbędności popierania gwar i pisania w gwarze, a tymczasem — ta gwara kwitnie sobie w nilepsze, posiada pisma, literaturę, dom kultury, ba nawet teatr. I co na to poradzić? Czy zabronić w drodze dekretu?

Jest to inny, szerszy temat.

Wejherowo, urocze letniskowe miasteczko pod Gdynią, powinno stać się ośrodkiem szerszego zainteresowania. Przedziwne to, nie tylko na nasze polskie stosunki gospodarcze, miasteczko. Okropności wojny ominęły je. Żyje sobie życiem przedwojennym. Jest schludne, czyste, prawie całe. Kilka tylko ruin szpeci rynek. Cóż to znaczy te 3 proc. zniszczeń wojennych, według notowań statystyki. Tyle, co nic. Więc z takim zniszczeniem Miejska Rada Narodowa sobie poradzi tak samo, jak poradziła sobie z budżetem.

Tak, Wejherowo jest godne zazdrości. Jest ono, powiedziałbym, najszczęśliwszym ze wszystkich miast w Polsce, a bodaj, czy nie w Europie środkowej i wschodniej. Mieć dziś uporządkowane finanse, bez poważniejszych długów, to raj na ziemi.

Jeszcze to nie wszystko z zakresu tutejszych osobliwości. Trudno uwierzyć, a przecież Wejherowo nie zna wcale kwestii mieszkaniowej. U siebie oczywiście, bo znają tylko z gazet udręki mieszkaniowe, jakie prawie wszystkie miasta w Polsce przeżywają.

Śliczne i szczęśliwe to miasto liczy 14.000 mieszkańców, w tym 13.120 Polaków, a 880 ludności niemieckiej. Dziś oni żałują „swego kroku" i wszczynają procesy rehabilitacyjne. 2.000 zagorzałych Niemców opuściło dawno Wejherowo, a na ich miejsce gmina przyjęła około 300 rodzin repatrianckich i przesiedleńców.

Ten idylliczny obrazek jednak niech nie będzie pokusą dla tych, którzy by tu chcieli osiedlić się i znaleźć pracę. Nie wielkie to miasteczko, co miało wchłonąć, to już wchłonęło, nie jest ono zresztą przemysłowe, zatem robotnikowi, zwłaszcza niewykwalifikowanemu trudno byłoby tu o pracę. Owszem, specjaliści, zwłaszcza z branży budowlanej, chętnie byliby widziani, jak zresztą wszędzie indziej. Ta branża ma po wojnie żniwa.

Ażeby dać jako tako pełniejszy obraz Wejherowa, sięgnijmy do jego historycznego rodowodu. Położone w dolinie rzeki Redy, otoczone wokół lasami, obok licznych cennych pamiątek z przeszłości, posiada słynną Kalwarię, składającą się z 26 kaplic, rozrzuconych malowniczo wśród gór i lasów na całej południowej stronie miasta.

Większość z nich budował sam założyciel miasta, wojewoda malborski, Jakub Wejher w w. XVII, a resztę jego spadkobiercy, przyjaciele.

Kalwaria ta od przeszło trzech stuleci jest celem pielgrzymek Kaszubów i Pomorzan. Miejsce to zowią Kaszubską Częstochową.

Kaszubszczyzna jest ogromnym szmatem naszych dziejowych tradycji. Kaszubi są jedyną pozostałą przy życiu starą pomorską odnogą polskiej grupy językowej i kulturalnej. W walce z niemczyzną, bez dostatecznej pomocy ze strony Polski, bez warstwy inteligencji, zdani jedynie na własny upór — przetrwali niezłomnie jako słowiańska awangarda ludowa nad polskim morzem.

Zdzisław Skwarczyński

# Łużyce wołają

Pod tym tytułem ukazała się starannie wydana, zaopatrzona w mapki i ilustracje broszura w popularny sposób informująca o Łużycach i apelująca o życzliwość Polaków do owego najmniejszego narodu słowiańskiego, najdalej na zachód wysuniętego w chwili dlań przełomowej, kiedy zyskał on szanse największe w dziejach na odzyskanie wolności.

Możliwości te stanowią konsekwencje wynikające z klęski Niemiec. Przede wszystkim jest nią oparcie naszej zachodniej granicy o Nyssę Łużycką, a więc dla Łużyczan odzyskanie po wiekach łączności geofizycznej ze Słowiańszczyzną.

W kolejnych rozdziałkach daje nam autor historię Łużyc (Słowianie byli i są pod Berlinem, Wyspa Łużycka, Źródła przetrwania, Przedwczesne nadzieje na tle losów słowiańszczyzny zachodniej). Dla nas są te dzieje uporczywej — jakby wbrew nadziei — walki wiekowej o prawo samodzielnego bytu szczególnie zrozumiałe i bliskie. Łużycki hymn narodowy „Hiszcze Serbstwo niezhubiene" na nutę Polskiego Hymnu Narodowego ma swoją wymowę dla całokształtu tych zmagań, gdy nasz swą treścią był aktualny w okresie niewoli, będącym tylko fragmentem bytu narodowego.

Dwa rozdziałki ostatnie (Łużyce dzisiejsze i Dlaczego Serbo - Łużyczanie muszą być wolni) stawiają problem Łużyc w obliczu współczesności.

Dla tego prawie **półmilionowego narodu o terytorium czterokrotnie większym od terytorium Luksemburga,** narodu napowrót wspartego o granice Polski i Czechosłowacji musi się znaleźć miejsce w odrodzonej i wyrównującej wiekowe krzywdy Europie.

Dla Polski wolne Łużyce — to skrócenie granicy z Niemcami prawie o połowę, a przesunięcie granicy Słowiańszczyzny na odległość 40 km. od Berlina, co może spowodować z kolei przesunięcie ośrodka państwowego Niemiec bardziej na zachód, a osłabić rolę stolicy pruskiego militaryzmu i zaborczości.

Gospodarcza samodzielność tego kraju jest zupełnie możliwa. Są tu kopalnie węgla brunatnego, dostarczające około 30 milionów ton rocznie, a więc tyle, ile wynosiła produkcja Polski w okresie przedwojennym. Jest wiele hut szklanych, fabryki porcelany, sukna, tekstyliów, są przędzalnie i tkalnie, stalownie, kamieniołomy, fabryki parowozów, papiernie, garbarnie, oraz największa na całe dawne Niemcy fabryka aluminium. Dolne Łużyce, pokryte wspaniałymi pastwiskami, sprzyjają znakomicie hodowli owiec.

W Rolanach znajduje się fabryka benzyny syntetycznej, w Wielkiej Dąbrowie światowej sławy fabryka porcelany dla przemysłu elektrycznego. Gęsta sieć komunikacyjna oraz liczne, wielkie lasy w Górnych Łużycach uzupełniają obszar bogactw tego niewielkiego kraju.

Łużyczanie zdają sobie sprawę, że na forum międzynarodowym ich słuszne żądania tylko wtedy będą brane pod uwagę, jeśli zyskają poparcie państw większych. Spodziewać się zaś tego mogą tylko od narodów słowiańskich. Spośród nich najbardziej niewątpliwie zainteresowane winny być: Polska i Czechosłowacja.

Rząd praski żywo zainteresował się tą sprawą i wypowiedział się w sensie gotowości poparcia żądań Łużyckich u sojuszników.

Czy odrodzona Polska poda rękę dobijającym się wolności Łużycom? Będzie to jedna z prób dojrzałości politycznej społeczeństwa, które może wywrzeć za pośrednictwem swych **Związków zawodowych, stowarzyszeń i instytucji kulturalnych oraz prasy** nacisk na czynniki państwowe: Krajową Radę Narodową, rząd i partie polityczne, aby sprawa Łużyc znalazła się na forum międzynarodowym i została pomyślnie dla nich rozstrzygnięta.

Czas jest najwyższy! Łużyce wołają!

Zygmunt Sierp

# NIEPOKÓJ O CIEBIE

Uniosłem oczy ponad czuby sosen,
gdzie nieodmiennie dzień się zatrzymuje
wilgotnym cieniem rzęs leśnych,
co ptaszęcą odległością w niepokoju rośnie
i ptaszęcym odfruwaniem spod słońca ucieka.

Chciałem cię ujrzeć w zwiniętym cieniu u zboczy,
chciałem cię ujrzeć w leśnych skrytkach gałęzi —
przebiegając krzyżowe ścieżki cmentarne,
szukałem cię w tragicznych obwódkach klepsydı
i liczyłem hełmy, o które wiat wydzwaniał
żołnierską wieczność zaciśniętej dłoni.

Widziałem cię bledszą od śmierci i od krwi czerwieńszą,
którą ściskali w garściach czujnych
nawet wtedy,
gdy za zwartymi powiekami
serce wiecznym snem się nudzi,
a w uszach po brzegi głodu, ognia i wojny.

Wiem, że bóle twoje są długie i nieokrzepłe
od palących się przestrzeni,
wiem i spotykam je pod rogach w ropiejących bąblach,
po drogach bliskich jak czas,
z którym się nie sprzymierzam
od wszystkich dni moich narodzenia

i w obnażonych porankach przebudzeń
widzę niedospane widmo twych oczu
i jak przez mgłę nadwątlony pułap twych żeber,
który kaszel szczurzą melodią toczy.
Liczę zatęchłe kazamaty wieczorów,
które kratą ciemności dorastają nieba,
gdzie pękają skronie jak granat —

tak —
modlę się do twojej krwi
męko
rzeką wezbrana.

# KSIĘGA WIOSNY

Wiosna krzyczy zielenią moczarów
i w białej wełnie kołysze
żółte noworodki kaczeńców,
a słońce nachylając promienną strugę
chucha w puchowe koszulki pąków.

Rozpoznajesz w czułości spływającej rosą
twarz matki niosącą uśmiech niebiosom
i wierzysz, poeto, w nieodmienny dogmat
odradzania sęków na wierzbach,
którym ojciec kazał stać przy drodze,
by budziły drzewną stróżą wiosnę na wprost okien

Więc chwyć niezwłocznie żagle dobrych wiatrów,
z którymi się przeginają topole wysokie
i kieruj się obłokiem, który dziś nie ryczy
i najciszej przepływa śniade krajobrazy,
unosząc ciepło sprzykrzone południowym trawom.

Niechaj teraz otuli wyziębiony przednówek
i rozpuści ptaki szukające ziaren
pod okapami stodół i na ścieżkach od komór,
zanim lipiec nie zarży dojrzałością jak ogier,
nim lato nie wybuchnie snopami nad miarę.

Jacek Maria Orlik

# W CHACIE

Podłoga z bitej gliny. Śmiecie zgarnia się codzień pod ławę,
By miały w czem czmychać księżycową nocą głodne myszy...
Z pod pułapu skośnie wiszącemi obrazami patrzą dziwnie łzawie
Prymitywnie malowani święci... życie żmudem dyszy...

Na polach, gdzie po bagnach sennie kopice z łotawą drzemią,
Patrzą z chałupy małe okienka pomalowane kurzem i deszczem.
Żyje się codzień jednako nad zalaną moczarami ziemią —
Woda i cisza... i niebo... ponure życia kleszcze.

W izbie sino od ostrego dymu gryzącej oczy machorki.
...Podobne do omglonego poranku jesienią nad mszarem...
Ostry zapach kapusty... Mdło, pachną przypalone kartoszki...
Dnie codzienne te same..., lata jak życie szare!

Oczy wlepione w żelazne garnki odymione sadzą,
Pachnące dla nas jak bajka... zapachem pierogów i ryby.
Dna pustych garnków – same nic do ust nie dadzą,
Daleko jeszcze i długo, nim się zsieją po lasach nowe grzyby.

Twarze blade, anemiczne jak bielona glinką ściana.
Na nogach skrzypią plecione z lipowego łyka łapcie.
Kłuje skórę, jak rżysko, ostra koszula parciana –
Chłodno, głodno i biednie... w nadbłotnej poleskiej chacie.

# Józef Andrzej Frasik — „Urodzony w źdźble“ *)

Zygmunt Kałużyński

## Elementy pieśni ludowej u Frasika

Porównanie twórczości Frasika z samorodnym pieśniarstwem ludowym jest jednym z tych zestawień, które narzucają się odrazu, które stanowią pierwsze zestawienie czytelnika, próbującego oddać swoje wrażenia. Jest to określenie, które najczęściej się słyszy o tym poecie, określenie nieraz z odrobiną nonszalancji wypowiadane; jak zwykle, gdy rzuciwszy okiem na jakieś dzieło poetyckie, szybko odkrywamy standart, model, słowo szufladkujące i określające, zadowoleni, że oto mamy klucz do tej roboty... Dla czytelnika jednak, który poznał więcej utworów tego liryka, albo przeczytał jego tom cały, świeżo wyszły drukiem, narzucające się porównanie z pieśnią ludową będzie się wydawało coraz bardziej wątpliwym, i kto wie, czy przy bliższej analizie nie będzie ono ostatnim z zestawień, gdybyśmy ustalali katalog wpływów, składników, tonów, z których zbudowana jest ta poezja. Spróbujmy tu zgrubsza wyodrębnić elementy typowe dla „samorodnej“ anonimowej, narosłej w ciągu wieków pieśni ludowej, i potem odszukać te charakterystyczne cechy u naszego poety; czy wystąpią one w całej okazałości, czy przetworzone, czy skarłowaciałe? Oto bowiem główne składniki **typowej** pieśni:

1) Tematycznie składa się ona z dwóch części, przeciwstawionych sobie lub połączonych przez jakieś zasadnicze podobieństwo. Pierwsza część, to pozornie obiektywne, obserwacyjne spostrzeżenie z przyrody: „Lecioły zórazie, krzycoły...“, „Ściani dumbek, ściani...“ („Leciały żórawie, krzyczały“, „Ścięli dąbek, ścięli...“) Ten pierwszy zwrot ma zazwyczaj już element nastroju, z reguły melancholijnego, — zapowiedź jesieni w odlocie żórawi, żal po ściętym drzewku... Drugi zwrot, po owym pierwszym jeszcze opisowym, jeszcze jakby obojętnym, — jest już uczuciowo wyraźniejszy, już stanowi przejście do części drugiej, która będzie bardzo osobistą; oto drugie kolejne zdanie: „Kalina z jeworem rozstać sie nie moze...“, (o dąbku) „Juz sie nie zielani...“ Tak wygląda pierwsza część, która jest wstępem tylko, pretekstem, by wybuchnąć osobistą, bolesną sprawą, — zaczyna się od obrazu przyrody, ale potem następuje jęk pełnym wykrzyczany głosem:

*„Lecioły zórazie, krzycały: Mój Boze!*
*Kalina z jeworem rozstać sie nie moze,*
*Kalina z jeworem rozstać sie nie chciała,*
*A JA Z JASIULECKIEM ROZSTAĆ SIE MUSIAŁA!“*

*„Ściani dumbek, ściani,*
*Juz sie nie zielani,*
*JUZ MEGO JASIULA*
*do zołnirzy wzieni!*
*Oj wzieni, go, wzieni*
*do tureckiej ziemi,*
*oj, juz go nie ujrze*
*ocećkami swemi!“*

Z reguły więc pieśń ludowa brzmi tonem **osobistym**, jest prywatną, uczuciową, żałosną przeważnie wypowiedzią udręczonego serca; i tylko jej osobliwy wdzięk, płynie stąd, że ów temat personalny jest przykryty, nie wykrzyczany odrazu z bezpośrednią, niekrępującą się gwałtownością, a poprzedzony porównaniem zaczerpniętym z przyrody, spełniającym rolę wielokrotną: uzasadnienia, wywołania nastroju przez podobną sytuację w przyrodzie, co w sercu cierpiącego śpiewaka, załagodzenia bezpośredniej, nieprzyzwoitej nachalności, jaką byłoby narzucenie odrazu, z miejsca, swej treści uczuciowej osobistej. Ważniejszą, zasadniczą częścią pieśni będzie część druga; pierwsza jest ledwie chwytem stylistycznym.

Otóż w całej twórczości Frasika nie ma wiersza, któryby odpowiał tak pojętej zasadzie konstrukcyjnej . Jest to poeta, który **bynajmniej nie szuka** w opisie i odczuciu przyrody pretekstu do rozprowadzenia swego stanu ducha, czy do zakomunikowania osobistych uczuć. Jest to jeden z najpowściągliwszych, najdyskretniejszych, najbardziej milczących o sobie liryków. Jeśli pieśń ludowa składa się z dwóch części: opisu natury — pretekstowego, a potem opisu własnych odczuć, własnego stanu emocjonalnego, w jakim znajduje się właśnie poeta, — to poezja Frasika może się wiązać tylko z ową częścią pierwszą. Typowy jest pierwszy wiersz tomu („Prolog“)

*„Ta chropowata pogoda i ten wiatr,*
*który zwiastuje czerwone rankiem niebo —*
*ten dymem chałup kołysany czas,*
*to rozrosłe szeroko marcowego ranka drzewo...“*

Nastawiamy się, że jest to przygotowanie do deklaracji uczuciowej, która zaraz nastąpi, — że po tym wyliczeniu wstępnym elementów zewnętrznej rzeczywistości, nadejdzie odkrycie uczuć własnych mniej więcej w takiej formie: „Wszystkie te piękne przedmioty, natura, chaty, cały ten świat wiejski, — to moja ojczyzna, do której jestem gorąco przywiązany. Wtedy moglibyśmy śmiało stwierdzić, że Frasik komponuje podobnie jak samorodny poeta ludowy. Ale spotyka nas zawód: bo żadna eksplozja uczuciowa nie następuje; wciąż trwa wyliczenie, które się wreszcie urywa z końcem wiersza bez żadnych detonacji emocjonalnych:

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

*„Te świerki zielone w ogrodzie księży,*
*te wrony ciągnące pod wieczór,*
*ten sypiący się drobno dzwonek z wieży,*
*ten zapach domu i śpiew maleńkich rzeczy...“*

Koniec. I tylko ostatnie trzy słowa, to jakby pointa, uogólnienie zamykające, sumujące wiersz. I tam nie ma bezpośrednio wypowiedzianego uczucia, jest tylko jakby w trzech słowach streszczenie wszystkiego, co w wierszu było wymienione. I tylko z charakteru wszystkich wyliczonych elementów, z nastroju, jaki te obrazy wytwarzają, czytelnik sam odgaduje i dopowiada sobie, co odczuwa poeta, dopowiada to, na co oczekiwał, ku czemu wiersz zmierza, a co przecież nie następuje: „...i śpiew maleńkich rzeczy... **do których jestem przywiązany“.**

Konsekwencje takiego stanowiska są zasadnicze. Bo Frasik bierze z pieśni ludowej to, co w niej jest **tylko ornamentem, przygotowaniem, elementem stylu;** drugą zaś jej część, uczuciową i konstrukcyjnie główną, albo eliminuje zupełnie, albo zastępuje paroma słowami konkluzji, pointą jednozdaniową, parowyrazowym streszczeniem, które i tak jakby z niechęcią podaje, z konieczności, by wiersz nie został niezamknięty! Rozbudowuje on to, co w owej pieśni jest rzeczową obserwacją, co jest świadomym, artystycznym przygotowaniem efektu, co jest **intelektualnym,** — pomija zaś to, co wylewa się poza regułę kontroli, określonego obrazu, ścisłego przedstawienia, co jest uczuciowym rozpasaniem, krzykiem, nieopanowanym wybuchem pasji! Pamiętajmy, że ilekroć pieśń ludowa przeżywała okres sławy, ilekroć stawiano ją za wzór twórczości, zawsze działo to się w czasach, gdy modny był zryw uczuciowy, gdy zasadą stawało się dążenie do całkowitego wyrażenia osobistych, wewnętrznych stanów psychicznych; że muzycy, którzy pieśni ludowe preferowali, naśladowali, muzykę do niej dorabiali, to byli nie klasycy, intelektualni konstruktorowie, polifoniści, ale romantycy, uczuciowcy, rozbijający formę dla całkowitego, pełnego ekspresji wyśpiewania swych osobistych potężnych pasji. Stwierdzenie więc, że Frasik wziął z pieśni ludowej jedną tylko nastrojową nutkę, i to tę najbardziej intelektualną, i ją jedynie niepomiernie rozwinął, charakteryzuje go dobitnie jako poetę o świadomych, celowych, opanowanych choć skromnych środkach wyrazu, nic wspólnego nie mającym z antyracjonalnym skowytem „bebechowym“, w którą to manierę tak łatwo popadają najwybitniejsi nawet kontynuatorzy pieśni ludowej.

2) Inna typowa cecha pieśni ludowej, to jej „budowa trzyczęściowa“, tj. powrót części pierwszej na końcu, powtórzenie dosłowne lub przetworzone tekstu, który pieśń rozpoczął. Powtórzenie takie może parokrotnie wracać, stać się refrenowe, zaklinawcze, litanijne. Ma ono, z jednej strony, funkcję formalną, — podkreślenie muzyczności, śpiewności przez nawrót motywu; z drugiej strony ma znaczenie uczuciowe, podkreśla siłę emocji, cierpienia, ciągle powracającego, wciąż skarżącego się w tych samych słowach. Napróżno szukamy czegoś podobnego u Frasika. Ten poeta **nie zna refrenu,** nie używa przyśpiewki, usuwa ze swoich wierszy wszystko co wiąże się ze stereotypową „muzycznością“. To go zbliża do Czechowicza, który tępił z taką stanowczością wszelkie mechaniczne, przyśpiewkowe, pomocnicze środki wywoływania emocji, przesuwając ciężar poezji na element literacki, na znaczenie, walor, barwę poszczególnych słów. To nie znaczy przecież, by owa cecha charakterystyczna pieśni ludowej — powracający, powtarzający się litanijny ton, — uszły uszom poety. Jednak pomniejsza on rolę owego szablonowego efektu muzycznego do jednej sylaby, jednego dźwięku, jakiegoś „Oj...“, rozpoczynającego strofę, jakby intonującego. Ten zaśpiew, blade i słabe echo, występuje zawsze na początku, zawsze ma funkcję oznaczoną, jakby był ujęty w cudzysłów, przytoczony dla charakterystyki, z pełną świadomością, nigdy nie wylewa się jękiem, płaczem z niepohamowanej potrzeby, jak bywa w pieśni ludowej.

3) Trzecia wreszcie typowa cecha pieśni ludowej, to jej **fabularność,** tak charakterystyczna, **że uważana za niezbędny warunek** przez niektórych teoretyków, warunek po którym poznaje się jej autentyczność. Pieśń ludowa zawsze coś **opowiada,** zawiera jakiś przebieg, narrację, choćby zdarzenia drobnego. To stanowi o jej **dramatyczności,** o której tyle mówiono, dramatyczności płynącej z przedstawienia wypadków, wyrazistego, dobitnego, teatralnego niekiedy. Wiąże się to z efektem deklamacyjności, recytacyjności, patetyzmu. Tę stronę pieśni ludowej wyzyskał i rozbudował **Lenartowicz,** ten klasyczny jej kontynuator; tę właśnie żałośliwą „fabularność“ naśladowała Konopnicka, tak niefortunnie skolei kopjowana przez różnorodnych epigonów, szczególnie przez samouków ludowych.

I znowu uderzy nas, przy zestawieniu z Frasikiem, że ten typowy element pieśni zanikł u niego niemal zupełnie. Wiersze jego składają się z szeregu obrazów nieustawionych w żadnym porządku chronologicznym; zrzadka tylko możemy wskazać wiersz opisujący jakiś przebieg, a i to raczej notujący marginalne jego wrażenia, niż opisujący samo jego trwanie. I gdy fabularność u pieśniarza ludowego wywoływała efekt rozlewności, dramatyczności, o tyle tutaj u Frasika jej zmodyfikowanie, nieomal likwidacja całkowita, daje efekt powściągliwości, zahamowania, opanowania wewnętrznego.

Cóż więc zostało z podejrzenia, jakie rzuciliśmy na Frasika, — że jest mianowicie kontynuatorem pieśni ludowej? Okazało się, że jej elementy są u niego nader ubogo wykorzystane, okrojone, zmodyfikowane, **zintelektualizowane.** Czemu więc nieodparcie narzuca nam się to zestawienie, czemu porównanie z pieśnią ludową jest pierwszym nasuwającym się porównaniem? Odpowiedź jest prosta: elementy pieśni ludowej są u Frasika stłumione, niemniej **istnieją,** w śladach, cieniach, echach; jest to jakby piana, zebrana z wierzchu strumienia, A więc, **mimo wszystko** zawdzięcza coś Frasik pieśni ludowej, lecz unowocześnia, transponuje, obramia jej elementy. Jeśliby nawet z punktu widzenia nowoczesnej liryki można go nazwać **cofniętym** (termin taki padł w dyskusji o Frasiku), to oceniany z pozycji pieśni ludowej i jej kontynuatorów stanowi on niewątpliwy postęp, modernizację, unowocześnienie; **Frasik jako kontynuator pieśni ludowej** zamyka raz na zawsze drogę żałosnym naśladowcom Konopnickiej i Asnyka, ukazując nową koleinę, w którą wkracza świadoma chłopska twórczość poetycka. Frasik zachowuje to, co w pieśni ludowej wciąż żyje, co dźwięczy dziś jeszcze aktualną poezją, odrzuca zaś wszystko co jest w niej przesadnym, uczuciowo rozwichrzonym, antyracjonalnym. Jest kilka pieśni ludowych, których literacka wartość ostała się, jakby były skomponowanymi przez nowoczesnych poetów. Nie są to zgoła pieśni charakterystyczne dla samego rodzaju pieśni, dziś ledwie oceniamy ich urok, wydobywamy je jako niemal prekursorskie; czyż nie mógł Frasik napisać tej oto piosenki, którą przytaczamy jako ton ostatni, niech dźwięczy ów anonimowy, nieznany, z przed wieków poprzednik Frasika:

*Wysła burzycka, wysła burzycka,*
*bandzie desc,*
*Gdzie sie ptosecku, gdzie sie ptosecku*
*podziejes?*
*Oj, polece ja, oj, polece ja*
*do boru,*
*pod gałązańke, pod gałązańke*
*jeworu,*
*tamój mnie descyk, tamój mnie descyk*
*nie kanie*
*na te psiórecka, na te psiórecka*
*ruciane!*
*Tamój mnie descyk, tamój mnie descyk*
*nie pryśnie,*
*na te psiórecka, na te psiórecka*
*złociste, złociste!*
*A—a—a—a—a!*

*) Józef Andrzej Frasik: **„Urodzony w źdźble“.** Wydawnictwo Oddziału Wiejskiego ZZLP. Kraków, 1946.

Leonard Sobierajski

## Krajobraz wiejski w poezji Frasika

Poezja Frasika dopiero wówczas dobrze się tłumaczy, jeżeli ją rozpatrujemy właśnie w kontekście kultury ludowej. Wówczas nabiera specjalnego wyrazu, staje się wymownym dokumentem i dla socjologa i dla badacza kultury. Bo choć autor „Urodzonego w zdźble“ sięga często do ogólno-narodowego warsztatu pracy literackiej po formę, po narzędzia poetyckiej wypowiedzi, to jednak cała jego twórczość w swojej najgłębszej istocie zdeterminowana jest tymi treściami, które zrodziły się w zamkniętym kręgu gromady wiejskiej. Czy to tę poezję dyskwalifikuje.? Sądzimy, że właśnie to, co robi. Frasik, jest cenną pracą kulturalną, ponieważ wartościom surowym, włączonym jeszcze w system kulturalnie niższy, nadaje stempel wyższego odniesienia. Treści ludowe, przetwarzając je narzędziami ogólnie uznanymi, wprowadza w krąg literatury dla wszystkich. W ten sposób dzieli się swoim chłopskim światem doznań i odczuwań — to jest raz, a poza tym stwarza możność kontroli, a więc korekty.

Autor tym skąpym treściom, przejętym z systemu kultury ludowej, stara się nadać artystyczny kształt. Tendencją tu nie jest jednak jakieś „brązowanie“, czy chwalstwo, jeśli stawia on właśnie swe doznania, jeśli „wypina się“, jakby ktoś złośliwie mógł rzec, to tę postawę też należy traktować historycznie.

Jest to słuszna obrona przed tym tradycyjnie trwającym gestem lekceważenia, jakim kultura szlachecko - inteligencka gromadę wiejską darzyła. W systemie tej kultury wszystko to, co wieś mogła dokonać, było bez znaczenia, nie liczyło się. Klimat tej kultury panował jeszcze zdecydowanie w okresie międzywojennym, a właśnie wtedy kształtowała się postawa Frasika-poety i z tego to czasu datuje się ta chęć pokazania wsi jako wartości, chęć wybronienia jej, potrzeba „zagrania“ nią: jej barwnością, kolorytem. Autor własne umiłowanie podbija, potęguje, by zobowiązać tym wszystkich, by nakłonić naród do nielekceważenia tej grupy społecznej, której lekceważenie historycznie przypadało zawsze w udziale.

Jeśli z twórczości Frasika płynie sugestia, że opiewa on wieś przeciwstawiającą się miastu, odcinającą się od niego, to chyba tylko miastu jako tradycyjnemu ośrodkowi dyspozycji, który stawiając chłopa w ciężkiej sytuacji ekonomicznej, odpychał go od udziału w korzystaniu z dóbr kulturalnych, jak zresztą odpychał i proletariat miejski — robotniczy czy inteligencki.

Miasto w świadomości chłopskiej to przede wszystkim domena tych ludzi, którzy dawniej potrafili tylko wieś eksploatować, nic jej w zamian za to nie dając —

stąd ta niechęć, ale nie jest to wrogość przeciw miastu w ogóle, przeciw miastu jako ośrodkowi kultury, postępu, cywilizacji.

Frasik nie wyczerpuje całkowicie treści kultury ludowej — narastającej, nie podchwytuje tego, co z wczorajszej wsi było już wyznacznikiem na dziś, ma oczy zwrócone na to, co w sumie swojej daje pojęcie pewnej zamkniętości, skończoności.

Jego dotychczasowa twórczość to przede wszystkim poezja dośpiewu skończonego już okresu w historii naszej wsi. Dlatego jest historycznym dokumentem poetyckim i w tych kategoriach należy ją ujmować.

### POETA I KRAJOBRAZ

Więc wieś, wieś, którą rzeczywiście w XIX wieku „wpływy zachodnio - europejskie stronami mijały", wieś odciętą, wszytą w lasy, żyjącą swoim własnym trudem, produkującą zaledwie na skąpe wyżywienie, — wieś zepchniętą.

Człowieka z miasta ta wieś interesowała przede wszystkim jako miejsce wywczasu, nie wciągał on się emocjonalnie w jej uznojone życie, nie zdobywał się wysiłkiem intelektualnym na ogarnięcie jej problematyki. Był uczulony na jej piękno, chciał się w nim kąpać, nim odpoczywać. Stąd stosunek sielankowy, estetyczny inteligenta miejskiego do wsi.

Chłop za pługiem w czerwonym spencerku to tylko piękna barwna plama, kosiarze w upalny lipiec to właśnie wesoły brzęk kos — bólu utrudzonego krzyża i zalanej potem twarzy na dystans się nie dostrzegało. Otóż ten krajobraz wiejski z całą gamą obłoków, zieleni, plam słonecznych, przykucniętych w gruszach i topolach chałup, tak już wygrany i poetycko wyeksploatowany stał się po prostu dobrem kulturalnym miasta, jego wartością konsumpcyjną, taką jak masło, jarzyny czy owoce. Wiemy, że chłop nie mógł sobie pozwolić na zjedzenie wyprodukowanego przez siebie jajka czy mleka, tak samo nie umiał się cieszyć pięknem, które go otaczało; nie starczyło mu na to energii, całkowicie zużywał się w pracy — ustrój go w tym typie życia utrzymywał. Nie dopuszczał go do udziału w dobrach miejskich, w wytworach cywilizacji, nie pozwolił mu na przeżywanie tych wartości, którymi chłopa-rolnika darzyła natura. I chyba znów stąd odruch tych pisarzy chłopskich, których Frasik typowo reprezentuje. Mówią oni: przeżyć poetycko krajobraz wiejski na swój sposób, objąć go w stan duchowy chłopskiego posiadania, uczynić go dla wsi wartością użytkową, dla wsi a tym samym i dla narodu. Ta postawa jest uczciwa i kulturalnie cenna. Wyśpiewać chłopską pracę tak jak ona dotychczas przebiegała, poetyckim wyrazem podbić ją na wyższy stopień. Pokazać poniżonemu chłopu, że był czymś w narodzie, że spełniał cenną rolę. Ta rola, którą chłop odgrywał, nie była spłacona uznaniem. Poeta chłopski chce to odrobić na swój sposób. Dokonuje on więc pewnej pracy, przechodzi nowy etap, jest to naturalnie tylko etap — pokwitować poetycko „minione", temu ukrzywdzonemu „minionemu"' nadać pewien walor; uczcić chłopa — producenta chleba. To daje wiersz Frasika „Pieśń żniwna". Niech nas nie myli tu forma poetycka, niech nas nie myli chwyt stylistyczny.

*„Oto żniwny poranek: czas nam z kosiarzem twardym się rozgwarzyć,*
*powietrze niech mówi dumą, treść nasza ma słowa pachnące chleba kromką.*
*Oto my, łany dojrzałe, jesteśmy dziś dumne, jak ucieszony dobrym życiem starzec.*
*który składa trud długi, bo mu jutro już może nie zaświeci słonko.*
*Krajcie nas bosi kosiarze! Oto twoja nadzieja, oraczu, oto twój pot żrały?*
*Rwijcie nas gładkie sierpy. Dziewcząt wsiowe przyśpiewy mówcie o nas szeroko,*
*By nam płodem pełną, szumiącą pierś, matki mlekiem wezbrała —*
*Karmcie się, syćcie nami głodni ludzie, łaknący na codzień, co roku.*
. . . . . . . . . . . .
*Oto dziś, krzykiem naszym gasimy bruki, świeżym chlebem mówimy — idziemy.*

Ta sama duma z ciężkiej, znojnej pracy bije z wiersza „Żarna".

*„Czarna ziemia, czarna rola, czarny chleb,*
*twarde dłonie, mocne dłonie: nie puszczę! nie dam!*
*A tu echem zapłociami śpiewa cep,*
*a tu z kalenic z wronami zrywa się bieda.*

*A tu śpiewliwe rankiem młynki — żarna,*
*a tu krzywda na miedzy, wierzba krzywa—*
*a tu dni jednakie, trudne, czarne:*
*słuchajcie,*
*słuchajcie —*
*piosenka kamienna. wrota skrzypią, z sieni odpływa".*

### KRAJOBRAZ CZY TEREN PRACY

Czy poezja Frasika to liryczny reportaż krajobrazu? Krajobraz wiejski z wszystkimi jego elementami, a więc polami, łąkami, niebem, obłokami czy ptactwem, toż to tylko czynniki towarzyszące, toż to przecież tło, widownia, aktora — chłopa tu jednak nie brak. Przesuwają się tylko akcenty. Poeta-oracz, poeta-kosiarz sam wypowiada radość i pochwałę pracy; mówi od siebie — jest bohaterem i piewcą, stąd wrażenie zacierającej się obiektywności, stąd może brak dystansu epickiego. Liryzm Frasikowy nie jest jednak egzaltacją, jest to liryczny entuzjazm z dokonanej pracy, wypowiada się grą tych elementów, które stanowią dobro wsi, grą elementami natury. Popatrzmy.

*„Zagrabione w kopice siano*
*Jutro wozem zajedziesz.*
*Łąkę wonną przywieziesz*
*na wierzbince ograną.*

*Rosa pada. Skończona praca.*
*Ostatnie motyle. Krzyk szpaków:*
*jakby w złocie szyszaków*
*z grabiami na ramieniu powracasz".*

Poeta miejski sławi prace dokonywane w ramach strukturalnych miasta. Budzi w nim entuzjazm konstruowany most i człowiek tego dokonywujący, estetycznych przeżyć dostarcza mu architektura, muzyka wielkich ulic, fabryka w ruchu czy kopalnia. Żeby móc podkreślić dumny udział człowieka w opanowaniu natury, musi podkreślać siłę oporów, tkwiących w tej naturze.

Poeta wsi akcentuje również człowieka, gdy wzrusza się elementami natury, to jako czymś, co jest włączone w system ludzkiego trudu, zabiegów i walki.

*Obłoki górą, obłoki dołem.*
*Nad wsią opadną w jezioro.*
*W sieniach skrzyp pracy, jak wczoraj:*
*ziemia,*
*jesieni dym —*
*koła dnia dalej skrzypią popychane mozołem.*

*Gdy wrócisz, naniesiesz w oczach pól. Ziemi.*
*Sień zamkniesz. Już ciągnie za pługiem mgła.*
*To Ty jak wiatr?*
*To ty przed dom?*

*To ty na progu w muzyce chustami jesieni się mienisz?*
*Z pól pozdrowienia jesienne*
*listkom wchodzącego żyta*
*i polom, gdy podają ręce dali, błoniom!...".*

Tym uczłowiecznieniem brzmi prawie każdy wiersz Frasika, poświęcony przyrodzie, czy to będzie „Elegia drzewna" czy „Dom Matki". Przeczytajmy:

*„Komu zniosły buczące pszczoły ten miodem płynący czas?*
*Komu pola podnosiły od góry śpiew miedz?*
*W tym świecie niczyim wiatr wiał.*
*W cieniu gruszy, w chłodnym rumianku lec.*
*Patrz: dzwońce dzwoniąc opadły na chwilę,*
*motyl, bielinek...*
albo:
*„Za słońcem słoneczników*
*ogród*
*nuty —*
*kurdybanku nazbierała*
*idzie, kaszląc, utyka.*
*Przywiało od gruszy kwitnieniem*
*i zaraz gałązki pruszą łuskami pąków na ziemi...".*

Pierwsze zetknięcie z poezją Frasika daje tematycznie wrażenie sielankowości, jednak wczytawszy się w jego utwory otrzymujemy poprzez sielankowo - elegijny ton obraz wsi trudnej, uznojonej, wsi ciężko walczącej o byt. Krajobraz wiejski, jako bohater wiersza, to współtowarzysz trudnej, ludzkiej doli chłopa - rolnika. Kończąc dodajemy, że ten rodzaj poezji, który nam Frasik dał, to właśnie dośpiew dla wsi z dnia wczorajszego, wsi, która odchodzi w przeszłość. Tę wieś kwituje za jej trud i mozół swoim tomem wierszy Józef Andrzej Frasik, poeta wyrosły z jej gleby. Poeta ludowy spłacając swój pierwszy dług ma za sobą i swój pierwszy etap poetyckiej chłopskiej drogi. Wieś dzisiejsza, wieś wchodząca w naród, w państwo będzie wymagała innych podejść i innej problematyki. Na tę nową drogę wchodzą dziś poeci ludowi.

Leonard Sobierajski

Stefan Lichański

# Odrodzenie sielanki

Poezja sielankowa zdaje się zaspakajać jakieś bardzo mocno zakorzenione i trwałe potrzeby psychiczne rodzaju ludzkiego, gdyż nie ma w historii literatury okresu, kiedy ten rodzaj poetycki zanikałby zupełnie Tym niemniej poezja ta nabiera różnego zabarwienia w zależności od epoki i środowiska, wyraża — choćby pośrednio — bardzo różnorodne światopoglądy i postawy psychiczne.

Nasza sielanka humanistyczna, nawiązująca wprost do klasycznych tradycji Teokryta i Wergiliusza, zamiera w związku ze stale postępującym upadkiem kulturalnym naszego społeczeństwa w ciągu XVII i pierwszej połowy XVIII wieku. Nowy rozwój sielanki polskiej u schyłku XVIII wieku i na początku XIX zawdzięczamy wejściu w orbitę oddziaływania literatury francuskiej czasów Oświecenia. Nie bez wpływu na naszą literaturę z pogranicza tych dwu stuleci pozostaje również literatura preromantyczna krajów germańskich, ale nie ulega wątpliwości, że jeżeli chodzi o poezję sielankową tego okresu wywodzi się ona zasadniczo z z francuskiej sielanki rokokowej (t. zw. eklogi galanteryjnej).

Ponieważ ten typ poezji sielankowej okazał się nader żywotny i o dużym zasięgu oddziaływania, warto wrócić myślą do środowiska i epoki, które go wyłoniły. Oto co pisze Hipolit Taine w swojej „Francji przed rewolucją": „Moda uprawnia nową afektację, tkliwość, rozmarzenie, rozczulenie, jakiego dotychczas nie znano. Chodzi o to, aby powrócić do natury, uwielbiać wieś, miłować prostotę, zwyczaje wieśniacze, zajmować się kmiotkami, okazywać ludzkość, kosztować słodyczy i czułości uczuć naturalnych, być mężem i ojcem, a nawet mieć duszę, cnoty, religię, wierzyć w Opatrzność i nieśmiertelność, być zdolnym do uniesień. Pragną tego, a przynajmniej mają takie zachcianki. W każdym razie jeżeli tego chcą, to, ma się rozumieć, pod warunkiem, że nie wykoleją się zbytnio ze zwykłego trybu i że wrażenia tego nowego życia nie ujmą nic z przyjemności dawniejszych. Kiełkująca więc egzaltacja nie będzie niczym więcej, jak tylko wybujałością mózgu, a cała sielanka odegra się w salonach. I oto literatura, teatr, malarstwo wchodzą na tory sentymentalne, aby rozbujałej wyobraźni dostarczyć sztucznego pokarmu... W następstwie przesadna uczuciowość rozlewa się i na wszystkie szczegóły życia prywatnego".

Inna była sytuacja polityczno - społeczna Polski, inny utrwalił się u nas typ umysłowości i inny styl życia, ale istniały i przyczyny, które dały wyniki pod wielu względami analogiczne do francuskich.

Ucieczka w konwencjonalną sielankę, w sentymentalizm miłosnej idylli, ucieczka jednym słowem w bajkę wiązała się ze złym samopoczuciem stanowym warstwy szlacheckiej. We Francji straszył już upiór przewrotu społecznego, w Polsca przede wszystkim groza utraty niepodległości państwowej. W warunkach chronicznej niepewności, w ciągłej obawie przed tym, co może przynieść jutro, w tajonym, wypieranym w podświadomość poczuciu własnej słabości i bezradności kryły się przesłanki „zamówienia społecznego" na literaturę kompensacyjną, dającą poczucie równowagi i bezpieczeństwa. A taką właśnie kompensację stwarzała sielanka mówiąca o świecie trwającym, niezmiennym, o świecie pozbawionym wszelkich konfliktów prócz miłosnych.

Piotr Chmielowski we wstępie do „Pism wierszem i prozą" Franciszka Karpińskiego omawia szczegółowo poglądy naszego „poety serca" na miłość, wykazując w nich sentymentalizm i umyślną egzaltację, a następnie pisze:

„Jakiż będzie wyraz literacki podobnej miłości? Oczywiście pełen czułości, często przesadnej, afektowanej (sentymentalność), prosty, naturalny, ledwie okrywający przejrzystą zasłoną zmysłowe popędy. A ponieważ hasłem stał się powrót do natury, a naturę na wsi tylko w całej piękności oglądać się przyzwyczajono, więc wszelkie te szczere wynurzenia przypisano pasterzom i pasterkom, nie znającym najmniejszego trudu życia, tylko jego skromne przyjemności i miłość. Naturalnie o malowaniu wsi prawdziwej, choćby w tym stopniu jak w „Żeńcach" Szymonowicza nie pomyślano wcale; stworzono natomiast wieś urojoną bez ciężkiej pracy, bez pańszczyzny, bez znoju, wydelikaconą. Mieszkańcy jej wyrażają się tak po literacku jak sam autor i nie mają żadnej innej troski nad troskę miłości. Łzawi są, płaczą przy każdej sposobności, skłonni są do omdleń; jakiejkolwiek surowości, a tym mniej dzikości, brutalności nie ma w nich ani śladu".

Nawet rewolucja romantyczna nie zniweczyła konwencjonalizmu sielanki. Poezja Lenartowicza jest bogatsza artystycznie i myślowo niż poezja Karpińskiego, a wieś z wierszy „mazowieckiego lirnika" ma więcej cech wziętych z rzeczywistości niż wieś z „Wiesława" Brodzińskiego, tym nie mniej Lenartowicz przyjmuje zasadniczo taką samą koncepcję sielanki jak Karpiński i Brodziński.

Nie ma w tej żywotności konwencjonalnego banału w gruncie rzeczy nic dziwnego: poezję tę tworzyli przedstawiciele jednej warstwy społecznej, jednego kręgu kulturowego, ludzie **spoza wsi.** Nawet dla Lenartowicza pozostawała wieś zawsze potrochu krainę egzotyczną. Lenartowicz przezwyciężył manierę stylistyczną sielanki pseudoklasycznej, ale sam jej schemat pozostaje u niego niezmieniony. Wprawdzie utwory takie jak „Mazur", „Duch sieroty", „Moja nuta" zahaczają o odmienne elementy bytowania wiejskiego, niesielankowe zgoła, ale są to tylko jakby cienie chmur, które na chwilę przesłoniły jasność słońca, i zasadniczo obraz wsi polskiej w poezji Lenartowicza zbudowany jest według następującej nader głębokiej koncepcji:

I czlek myśli, że w raju,
A on w kraju, oj, w kraju...

Koncepcja „wsi spokojnej, wsi wesołej" tak utrwaliła się w naszej literaturze, że działa już niezależnie od związków autora z bazą społeczną, z której wyrosła. Echa jej odnajdziemy np. we wdzięcznych wierszach tak subtelnego liryka jak Włodzimierz Slo bodnik. Tkwi ona w podstawowych założeniach „Czartakowców", choć u Zegadłowicza np. w jego „powsinogo-beskidzkim" okresie jest zmęczona rozrabianiem i rozwadnianiem zasadniczych motywów kasprowiczowskiej „Księgi ubogich".

Taki przegląd zjawisk literackich był konieczny, by należycie ocenić ważkość ostatniej książki Frasika, książki, która zdaje się otwierać nowy etap w ewolucji rodzaju.

Sprawa pierwsza: w poezji Frasika motywy miłosne przestają grać rolę dominującą, jak również sentymentalne zachwyty estetyzującego turysty nad urokami wiejskiego życia i pejzażu. Dominującym staje się tutaj motyw **przywiązania** do wsi, do środowiska chłopskiego, ale wyrażający się nie ogólnikowo, lecz w akcentowaniu związania uczuciowego z pewną określoną wsią, z pewną określoną grupą ludzi. Frasik nie pisze o jakiejś mitycznej „wsi w ogóle", ale o wsi, w której znajduje się jego dom rodzinny, w której mieszkał jego przyjaciel Błażek Wyligała, a także familia Kubusioków, z którymi Frasikowie mieli jakieś spory i zatargi. Bohaterami lirycznych obrazków Frasika są matka, ojciec, siostra, żona, córeczka poety. W krajobrazie Frasika przedmioty rozmieszczone są nie według abstrakcyjnych założeń poetyki rodzaju (t. zn. tak żeby było „ładnie"), ale zgodnie z faktyczną sytuacją: wiemy, że w ogrodzie księży znajdują się pawie, że koło domu Błażka Wyligały rosną brzozy, przy drodze wiodącej do miasta olchy, że obok domu poety rośnie stary wiąz, a w sieni stoi beczka na wodę.

I jeszcze jedno: krajobraz Frasika nie jest tylko **tłem, występuje** on zawsze w powiązaniu z pracą ludzką lub losami człowieka. Działa tu tradycja pracy rolniczej włączającej człowieka w bezpośredni kontakt z przyrodą, łagodzącej ostrość granicy między światem ludzkim a pozaludzkim.

U Frasika sielankowość nie jest czymś założonym, programowym, jest **punktem dojścia**, jest naturalnym wynikiem pracy literackiej artysty, któremu właśnie idylliczna koncepcja świata jest najbliższa.

Zdaje się, że jak sielanka na schyłku XVIII wieku wróżyła zmierzch świata szlacheckiego, tak sielanka tego typu, jaki reprezentuje nowa książka Frasika, pozostaje w związku z kryzysem warstwy chłopskiej, z jej wyjściem z fazy wielowiekowej bierności, z unowocześnieniem się jej życia i myślenia. W tych warunkach budzi się również niepokój niepewna przyszłość napawa lękiem, myśl zwraca się ku dawnemu, utrwalonemu przez stulecia stylowi życia i w nim szuka otuchy i pociechy.

Dla badacza kultury czy socjologa książka Frasika ważna jest przede wszystkim jako zewnętrzny wyraz pewnych procesów zachodzących w zbiorowości chłopskiej. Dla wszystkich jednak szczerych miłośników poezji „Urodzony w źdźble" ma ciężar gatunkowy inny. Oto odżywa w tej książce rodzaj poetycki, który zdawał się być skazanym na zamarcie w konwencjonalnej nudzie. Sielanka polska dzięki Frasikowi staje się znów odkrywcza i świeża, nasyca się realnością życia. Nareszcie przemawia z tego tomu wieś wolna od tych konwencjonalizmów, które w jej opis wnieśli niedzielni wycieczkowicze — miłośnicy krajobrazów z krową — i od tych, które przynoszą ze sobą zawodowi rozdrapywacze różnych ran społecznych i narodowych, specjaliści od „społecznych protestów", — wieś taka, jaka jest na prawdę.

Antoni Piper

# OBLĘŻENIE HELU

*Proza dokumentarna*

Pierwszego września 1939 r. o świcie mieszkańcy półwyspu helskiego usłyszeli szybki i gwałtowny ogień artylerii przeciwlotniczej, nie trwający jednak długo, gdyż po upływie kilkunastu minut ucichło wszystko. Zerwali się niektórzy wylęknieni z łóżek, obudzeni tym strzelaniem. Jedni myśleli, że to tylko ćwiczenia marynarki Obrony Przeciwlotniczej i kładli się spowrotem do łóżka. Innych natomiast zaniepokoiła niezwykła pora tych „ćwiczeń". A nuż już wojna wybuchła — myśleli lękliwi.

Jak się w kilka godzin potym przekonano, wojna istotnie się zaczęła. Nadeszłe do Jastarni i do Helu wiadomości telegraficzne z Pucka donosiły o zbombardowaniu miasteczka Pucka przez samoloty niemieckie o godz. piątej nad ranem. Donoszono o ofiarach w zabitych i rannych.

W samo południe mieszkańcy półwyspu i okolicznych osiedli przymorskich zaintrygowani zostali przytłumionym hukiem, dochodzącym do uszu ich skądś z nieba. Widać nie było nic, a na jeden samolot nie wyglądało też. Jedni twierdzili, że to eskadry samolotów nieprzyjacielskich bardzo wysoko krążą nad okolicą, że niezmiernie ich dużo musi być, więc ten huk powstaje od warkotu silników samolotów. Ludność z zainteresowaniem słuchała tych huków, a w końcu i to ją znudziło, przeszła więc nad tym do porządku dziennego.

Kilkanaście minut później prosto z nieba zleciały na dół trzy samoloty, które się odłączyły od tamtych, huczących eskadr i lot swój obniżyły zaledwie na kilometr nad powierzchnię ziemi. Znaków rozpoznawczych jednak nie było można jeszcze dokładnie gołym okiem stwierdzić.

Ktoś tam przyniósł starą lornetkę i popatrzywszy w niebo, zwrócił się do otaczających go:

— Uciekajcie natychmiast do schronów, to są niemieckie „fligry", mogą bombę spuścić, gdy będziecie się tak gapili.

Po tych słowach jakby kto ludzi wymiótł z ulicy. Nie było żywej duszy. Każdy pobiegł do swego schronu, by oczekiwać trzasku i wstrząsu zderzającej się z ziemią bomby, o których potwornej działalności ogół miał wyolbrzymione pojęcie.

Jednak wybuch nie następował, a samoloty oddaliły się wreszcie, zdawałoby się, bo warkot motorów ucichł. Wyszli wszyscy wtedy ze schronów na świeże powietrze.

Akurat wielu obiadowało, gdy nagle usłyszeli gwizd przeciągły „pikującego" samolotu. Zanim zdążono uświadomić sobie grożące niebezpieczeństwo, trzy silne wstrząsy zachwiały chatami i domami rybackimi.

Po tym pierwszym na półwyspie, a drugim ogólnym w kraju nalocie, dopiero ludność miejscowa dowiedziała się o wypowiedzeniu wojny Polsce przez rząd niemiecki.

Tego samego dnia już się nalot więcej nie powtórzył.

Kto posiadał własny odbiornik radiowy, nie zamykał prawie przez cały dzień aparatu. Wieczorem zaś cała ludność, nie posiadająca radiodbiorników słuchała, gromadząc się w parku koło dworca kolejowego i tam wszędzie na ulicach, gdzie zainstalowane były megafony uliczne, radiowych komunikatów z frontu, które zawsze były optymistyczne.

W końcu i te komunikaty ucichły. Wtedy ostatnia nadzieja sprawiedliwych pierzchła. W dusze słabsze wkradło się zwątpienie. Jasnym się stało, że coś się kruszy, łamie, że wszystko, co było dotąd, runie, że jakiś nadchodzi inny czas, ciężki, okropny.

Już po upływie pierwszego tygodnia wojny, dowóz żywności na półwysep został wstrzymany, ponieważ nie można było nic kupić w pobliskich osiedlach rolniczych, a z zapleczem komunikacja była przerwana już kilka dni temu. Zapasy mięsa, masła i innych artykułów pierwszej potrzeby, porobione przez gminę, kończyły się widocznie, bo coraz mniej wydawano na głowę żywności.

Gdy wyczerpały się zapasy gminne, wojsko przyszło ludności cywilnej z pomocą, wydzielając z swoich magazynów mąkę, którą oddawano do miejscowych piekarzy, piekli oni na kartki chleb dla mieszkańców tutejszych. Na głowę piekli dziennie 150 gramów chleba, z której to racji nie mógł żyć żaden zdrowy i pracujący człowiek dorosły. Można przypuszczać jednak, że piekarze oszukiwali też ludność, bo po wkroczeniu wojsk niemieckich do Jastarni okazało się, że posiadali oni znaczne zapasy mąki żytniej, która, jak twierdzili, była ich własną, zachowaną z przed wojny jeszcze.

A tam po drugiej stronie zatoki koło Gdyni i Oksywia nieprzerwany ogień artyleryjski huczał donośnym, groźnym pomrukiem wojny. Widać było z półwyspu w dzień opary i dymy, przesłaniające tamten „gorący" brzeg, w nocy zaś węże ognia, ślizgające się po ziemi i race świetlne, rozdzierające ciemność nocy by wydrzeć tajemnice zamysłów nieprzyjaciela.

Pewnego pięknego popołudnia ktoś przyniósł pogłoskę, że widać dwa duże okręty wojenne na pół drogi morskiej z Gdyni do Jastarni. Rybacy z zaciekawieniem wychodzili na brzeg popatrzeć choć z daleka na te okręty.

W pewnym momencie zauważono, że okręty manewrują, skierowując się dziobami w kierunku Jastarni.

— Będą strzelać — krzyknął ktoś doświadczony — uciekajcie!

Nie dokończył słów, gdy zauważono dwa błyski na okrętach, a równocześnie w chwilę po tym usłyszano świst lecących ponad głowami pocisków.

Nikt już nie pytał co i jak, lecz ile sił miał w nogach uciekał w kierunku lasu.

Pierwsze pociski upadły we wsi, niedaleko brzegu, następne nieco dalej w głębi wioski, dalsze pod lasem, w lesie, wiele rozerwało się w Bałtyku.

Jeden stary rybak, zdziecinniały już, nazwiskiem Jakub Konkel, nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa, podczas bombardowania przez okręty niemieckie Jastarni, spokojnie sobie zbierał w polu ziemniaki, podczas gdy nad głową jego rozrywały się szrapnele i padały niedaleko niego w polu. Cudem uszedł jednak z życiem.

Bombardowanie Jastarni trwało może godzinę czasu. W ludziach nie było strat żadnych, były natomiast, niezbyt zresztą duże straty w budynkach mieszkalnych i gospodarskich.

Kilka epizodów niebezpiecznych i emocionujących było także.

U Juliusza Muży pocisk wybuchł w domu, rozbijając całą ścianę boczną. Muża z rodziną siedział w schronie na podwórku u siebie. Rumowiska walącego się domu zasypały jego schron. Jedynie dość szybka akcja ratunkowa ocaliła rodzinę. Wypadki podobne miały miejsce kilkakrotnie. Pocisk zasypał nawet całkowicie leżącego w dole po kartoflach chłopca, o którym nikt by nic nie wiedział, gdyby nie żołnierz polski, idący na służbę, który zauważył to. Dzięki natychmiastowej akcji chłopaka uratowano.

Jastarnię ostrzeliwał krążownik niemiecki starszego typu „Schleswig Holstein", drugi podobnego typu okręt podjechał bliżej Helu i ostrzeliwał port wojenny. Za każdym wystrzałem chaty rybackie chwiały się mocno, tynk nawet opadał z powały.

Nie wiadomo, jak długo trwałoby bombardowanie Jastarni i jakby ona po tej akcji wyglądała, gdyby nie kontrakcja ze strony polskiej. Marynarka Obrony Wybrzeża w pewnym momencie posłała kilka pocisków przeciw bezczelnie podpływającemu coraz bliżej „Schleswig Holsteinowi". Już po kilku seriach działalność niemieckiego okrętu został przerwana. Otoczył się sztuczną zasłoną dymną i zawrócił do Gdańska.

Nagle milczenie „Schleswig Holsteina" było niezrozumiałe dla wszystkich. Powychodzili jednak co odważniejsi ze schronów. Okazało się potym, że dwa pociski dział polskich trafiły w samo działo; zabijając i raniąc obsługę, zrywając komin z okrętu.

Dopiero w pół godziny po zaprzestaniu ognia ludność miejscowa odważyła się wyjść ze schronów, by oglądać szkody, jakie poczyniły pociski z okrętu.

Nie były wielkie, jednak kilka domów zostało poważnie uszkodzonych, najbardziej, i to jako pierwszy, piętrowy dom znanej hakatystki na tutejszym terenie, Otylii Muży.

Ona najwięcej czuła się poszkodowana, żądając natychmiatsowego odszkodowania w gotówce z tutejszej gminy, na co jej odpowiedziano:

— Dlaczego od nas żądacie odszkodowania? My wam domu nie uszkodziliśmy, tylko wasz Adolf wam to uczynił, więc do niego miejcie żal i pretensję, że szkodę wyrządził patriotce niemieckiej. Jak Hitler przyjdzie to on wam postawi lepszy jeszcze dom.

Już więcej Muża nie napastowała polskich władz o odszkodowanie, przysięgła za to w duchu zemstę wszystkim Polakom.

Innego słonecznego, pięknego południa wrześniowego ogłoszono rykiem syren nalot. Zanim jednak to uczyniono, już samoloty nieprzyjacielskie leciały nad zatoką. Jeden po drugim opuszczały się samoloty w locie nurkowym na dół, na cel z góry upatrzony. Cel ten nie był widoczny dla większości mieszkańców Jastarni, kilkanaście osób jednak przypatrywało się tragedii, która właśnie w zatoce się rozgrywała.

Z Gdyni do Jastarni jechały dwa statki Żeglugi Polskiej: „Gdynia" i „Gdańsk" załadowane żywnością dla wojska i cywilnej ludności, jako też mające cywilną ludność na pokładzie. W połowie drogi z Gdyni do Jastarni zostały zauważone i zaatakowane przez silne lotnictwo niemieckie.

Nad tymi statkami właśnie teraz krążyły samoloty, bez przerwy obrzucając je bombami i siekąc z broni pokładowej. „Gdynia" już tonęła. Marynarze i ludność cywilna, pragnąc się ratować spuścili szalupy na wodę i wsiedli do nich. Lecz niemieccy lotnicy z karabinów maszynowych pozabijali cywilów i marynarzy. Nie przestali siec z broni pokładowej, aż nie było już żadnego żywego człowieka na wodzie.

Cały atak skoncentrował się teraz na statku „Gdańsk". Ten bronił się dość długo, mimo, że na pokładzie jego było już kilku zabitych i kilkunastu rannych. Postanowiono jednak walczyć do ostatka i polec, jak synom morza przystało, honorowo, na posterunku.

Z jednego karabinu maszynowego, posiadanego na pokładzie postanowiono bronić się, wiedząc z góry, że walka ta jest beznadziejna wobec takiej siły powietrznej i przewagi nieprzyjaciela. Bomby sypały się jak deszcz, nieraz bardzo blisko burty i padały w wodę, odłamkami raniąc i zabijając marynarzy. Podziurawiony wskroś pokład „Gdańska" otrzymał w końcu cały ładunek bomby w sam środek i w moment później woda gwałtownie wdzierać się poczęła do wnętrza. Na ratunek było już za późno. Jednak i tu konających lotnicy niemieccy jeszcze dobijali kulami z karabinów maszynowych.

Złość i oburzenie powstało w sercach kaszubskich, gdy dowiedziano się o strzelaniu do ludności cywilnej z tonącego statku.

Kilka dni potym samoloty niemieckie ostrzelały łódkę rybacką. Rybacy ci niedaleko brzegu zastawiali sieci na węgorze, gdy raptem jeden samolot zauważywszy ich, przeleciał ponad głowami, otwierając ogień z karabinu maszynowego do znajdujących się w łodzi rybaków. Ci momentalnie wyskoczyli do wody, ponieważ nie było głęboko i przewróciwszy łódkę dnem do góry, ukryli się pod nią.

Oburzenie było powszechne na ten czyn niemieckich lotników. Szemrali nawet tacy, którzy mieli dawniej pewne sympatie do narodu niemieckiego. Inni starali się bronić Niemców, tłumacząc ich tym, że nie wiedzieli, że w łódce znajdują się rybacy, sądzili zapewne, że to marynarze polscy, przebrani za cywilów.

Następnego dnia o świcie, gdy ludzie wstawali, huk ogromny wstrząsnął chatami rybackimi i w wielu domach szyby wypadły z okien. To samoolty niemieckie zrzuciły bomby na dwa polskie trawlery, stojące w porcie jastarnickim. Jeden poszedł odrazu w powietrze, drugi zapalił się i płonął, wyrzucając z swego wnętrza kłęby gęstego, czarnego dymu. Co chwila słychać było trzaski wysadzanej przez pożar amunicji, znajdującej się na okręcie. Chaty rybackie, znajdujące się blisko zatoki, zostały poharatane odłamkami bomb i szczątkami palącego się okrętu. Jedna z bomb trafiła też w drewniany barak A.Z.M-u i częściowo go uszkodziła.

Ludność, chroniąca się podczas nalotów do kościoła, przeżyła raz moment prawdziwego strachu, gdy jeden samolot za drugim nalatywały w bliskości kościoła, siejąc nieustannie z kulomiotu po dachach domów i po dachu kościoła.

Tymczasem front koło Wielkiej Wsi dotychczas dosyć cichy, ożywiał się. Słychać było coraz częściej „pukanie" z artylerii polowej i bombardowanie frontu przez niemieckie okręty z morza otwartego.

Ludność miejscowa drżała z trwogi przed ponownym bombardowaniem wioski przez okręty niemieckie. Kilka kobiet, ulegając wrogiej propogandzie niemieckiej wystąpiło nawet wobec gminy, pociągając za sobą inne, żądając zwolnienia mężów i synów z frontu i ni mniej, ni więcej, tylko oświadczając, by się wojsko polskie poddało, ponieważ ich trzymanie się jest bezcelowe, gubią tylko swoich ludzi.

Rozpędzono demonstrantki, ale nic się im złego nie stało. Wydano tylko oświadczenie urzędowe, że na przyszłość, gdy się coś podobnego powtórzy, winni zostaną ukarani śmiercią. Nie stało się jednak już to więcej, gdyż za kilka dni była kapitulacja Helu.

Afisze, odezwy i wiersze patriotyczne, przyklejane na tablicy ogłoszeniowej przez jednego młodego rybaka kaszubskiego, czującego się prawdziwym Polakiem, ginęły zrywane potajemnie przez miejscowych renegatów kaszubskich, jak się okazało potym, przez rybaka Juliusza Mużę i syna jego Albina.

Przebywanie w schronie robiło niesamowite wrażenie z początku na nieprzyzwyczajonych do takiego mieszkania. Po jakimś czasie oswojono się jednak z takim życiem, grano w karty, śpiewano piosenki miłosne i kościelne, pobożne, kochano się, kłócono.

Były także epizody, że w schronie w jednym kącie ojciec lub matka podczas nalotu odmawiali różaniec, gdy młodzi, najnowsze, usłyszane piosenki kabaretowe śpiewali; nieraz kłócono się, nawet przeklinano.

Dzień przed kapitulacją Helu, późno w nocy, nagle ciszę przerwał donośny, ponury głos, wołający przez megafony uliczne:

— „Hallo! Hallo! Okręty nieprzyjacielskie zbliżają się do brzegów półwyspu. Proszę czemprędzej podążyć do schronu.

Ponury ten głos, wołający w nocy uczynił straszne i niesamowite wrażenie na mieszkańcach Jastarni.

Zaalarmowana ludność kaszubska napoły ubrana, wyskoczyła z łóżek, zabierając ze sobą resztę odzieży do schronu lub na dworze się ubierając. Na wszystkich twarzach malowała się śmiertelna trwoga, każdy czegoś strasznego oczekiwał tej nocy.

Ale trwoga ta okazała się nieuzasadniona, gdyż nic się nie stało. Po upływie godziny alarm został odwołany. Wielu jednak nie wyszło do rana ze schronów, spędzając tam resztę nocy.

W ostatnich dniach wojny Niemcy zaczęli praktykować inną broń, a mianowicie: propagandę. Prawie każdego dnia zrzucali z samolotów do lasu ulotki propagandowe. Szczególnie dużo takich ulotek spuścili na front polski dzień przed kapitulacją Helu.

A w niedzielę rano w Jastarni - Borze przy drodze koło krzyża stanął oddział żołnierzy polskich, częściowo już bez broni. Złożono na ziemi trzy CKM-y. Sierżant jakiś wystąpił z krzyżem w ręku, bez czapki wojskowej, następnie przybiegł porucznik piechoty z Juranty i przemówił do cywilnych, każąc wszystkim wywiesić białe chorągwie, gdyż wojska poddają się. Potym jeszcze mówił chwilę, uzasadniając krok ten bezcelowością dalszej walki po kapitulacji Warszawy.

W pewnym momencie tak ożywionej „perory" przybiegł do niebo pewien młody podporucznik marynarki, stacjonujący z oddziałem swoim w pobliskiej leśniczówce i śmiało podszedłszy do buntownika, krzyknął, wyjmując rewolwer i skierowując lufę w pierś porucznika:

— Odejdźcie stąd coprędzej, bo zastrzelę was bez pardonu jako zdrajcę i buntownika.—

Zaś zwróciwszy się do oddziału żołnierzy rozkazał:

— Kto wam rozkazał porzucić broń i stanowiska opuści?! Natychmiast podnieść broń i na stanowiska!

Stanowczość głosu i wymierzony rewolwer w pierś porucznika postawiły wszystkich zbuntowanych na nogi. Jeden przez drugiego w popłochu uciekali do lasu, objąć opuszczone już stanowiska.

Przychodzący potem inni marynarze pozdejmowali białe obrusy i prześcieradła, wywieszone już przez niektórych kaszubów.

To też gdy w chwilę potem leciały przez wioskę samoloty niemieckie, nie ujrzały one białych chorągwii, natomiast jak zwykle przyjęte zostały ogniem karabinów maszynowych polskich.

Ale kapitulacja nastąpiła jeszcze tego samego dnia. Gdy ludność miejscowa wychodziła z kościoła w południe po skończonym nabożeństwie, przez megafony usłyszała wiadomość o zawieszeniu broni na Helu i kapitulacji.

## *KSIĄŻKI NADESŁANE*

**WYDAWNICTWA „KSIĄŻKI"**

Bolesław Prus — **Faraon,** tom I. str. 257. **Lalka,** tom I, str. 264, tom II, str. 298.

Balzac — **Dwaj poeci,** str. 172.

M. F. Subotin — **Pochodzenie i wiek ziemi,** str. 68.

Adolf Rudnicki — **Koń,** str. 23, **Major Hubert z armii Andersa,** str. 27, **Józefów,** str. 16, **Czysty nurt,** str. 43, **Wrzesień,** str. 67.

Żanna Kormanowa — **Joachim Lelewel,** str. 95.

Adam Mickiewicz — **Grażyna,** str. 76.

Agot Gjems - Selmer — **Nad dalekim cichym fiordem,** str. 128.

Władysław Brus — **Urojenia i rzeczywistość,** str. 117.

**WYDAWNICTWA „CZYTELNIKA"**

Michał Szołochow — **Cichy Don,** tom I, cz. I, str. 144, tom I, cz. II, str. 169, tom I, cz. III, str. 227.

Janina Broniewska — **Szlakiem Pierwszej Armii,** str. 174.

**WYDAWNICTWA INNE**

**Ziemie odzyskane — odzyskani ludzie,** str. 134, Wydawnictwo Zachodnie, Poznań, 1946 r.

Henryk Barycz — **Ślązacy w Polskiej kulturze umysłowej,** str. 71.

Stefan Otwinowski — **Wielkanoc,** str. 91, Kraków 1946 r.

Ks. Henryk Weryński — **Katolicy radykalni,** str. 39, Państw. Instytut Wydaw. Warszawa 1946 r.

---

## OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „W i e ś" przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P. K. O. Łódź VII—1080

*Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.*

**Redaktor naczelny:** Jan Aleksander Król. **Komitet redakcyjny:** Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga - Michalski Józef, Piętak Stanisław. **Komitet terenowy:** Frasik Józef Andrzej, Nędza - Kubiniec Stanisław.

**Adres redakcji:** Łódź, Piotrkowska 96 tel. 100-98.

**Redakcja rękopisów nie zwraca.**

**Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.**

**Ceny ogłoszeń:** kolumna zł. 60.000, ½ kolumny zł. 30.000, ¼ kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—03627